

PAMIĘĆ \ Most ponad przerwana ciągłością

Armia z innego świata

Nie powiódł się szatański plan komunistów, by usunąć ich raz na zawsze z powierzchni ziemi, a pamięć po nich zatrzeć – jak ślady zbrodni w celi podrzędnego biura Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Wracają...

Wojciech Mucha

„Chłopaki, do tej pory zwlekałem z wstąpieniem do UB. Sądziłem, że może tamci się opamiętają. Walka z »leśnymi«, którzy też są Polakami, jakoś nie trafiała mi do przekonania. Ale to są psy, wściekłe psy, których należy tępić bez litości”.

Powyższy cytat anonimowego ubeka pochodzi z wydanej w 1964 r. przez Departament Kadry i Szkolenia MSW antologii „W służbie narodu – wspomnienia pracowników”. Jak łatwo zauważyć, „antologię” wydano długo po tzw. odwilży 1956 i rok po zamordowaniu ostatniego ze „wściekłych psów” – legendarnego Józefa Franczaka ps. „Laluś”. Rodzina poszukiwała czaszki Franczaka aż do ubiegłego roku, kiedy tę odnaleziono w zbiorach Uniwersytetu Medycznego w Lublinie. Setki innych czekają na odnalezienie. Wyklęci i tępienie trwało dłużej niż tylko do śmierci ostatniego z bijących się „O orła i koronę dla niego”. Ale nie udało się wytępić „wściekłych psów”.

Opowiedz mi o Nich

Wracają. Z bezimiennych dołów, z ubeckich katowni, z mroków zapomnienia. Podziemna armia powraca. Wychodzą na ulice, wchodzą do szkół, opanowują III RP niczym oddział Józefa Kurasia „Ognia” ubeckie więzienie św. Michała w Krakowie 18 sierpnia 1946 r. – bez jednego wystrzału. Uwalniają słowo, myśli i potencjał. Widać to po liczbie inicjatyw, wydarzeń, wydawnictw i koncertów z okazji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, którego uroczystości rozciągnęły się na cały tydzień. Widać to na „Łączce”, gdzie wolontariusze, rezygnując ze swoich codziennych obowiązków, przychodzą, by przez chwilę pobyc z swoimi bohaterami. Widać to w szkołach, gdzie program lekcji historii jeszcze do niedawna kończył się na wybuchu II wojny światowej, a temat Polski Ludowej był wstydliwie pomijany przez nauczycieli nieprzy-

gotowanych do tego zagadnienia lub mających o nim takie wyobrażenie jak czytelnicy cytowanej antologii. Dziś młodzi ludzie sami proszą, by opowiadać im o bohaterstwie rotmistrza Pileckiego, o generale „Nilu” i innych. W mniejszych miejscowościach sami szukają lokalnych „Wyklętych”, często przełamując znowę milczenia i barierę strachu.

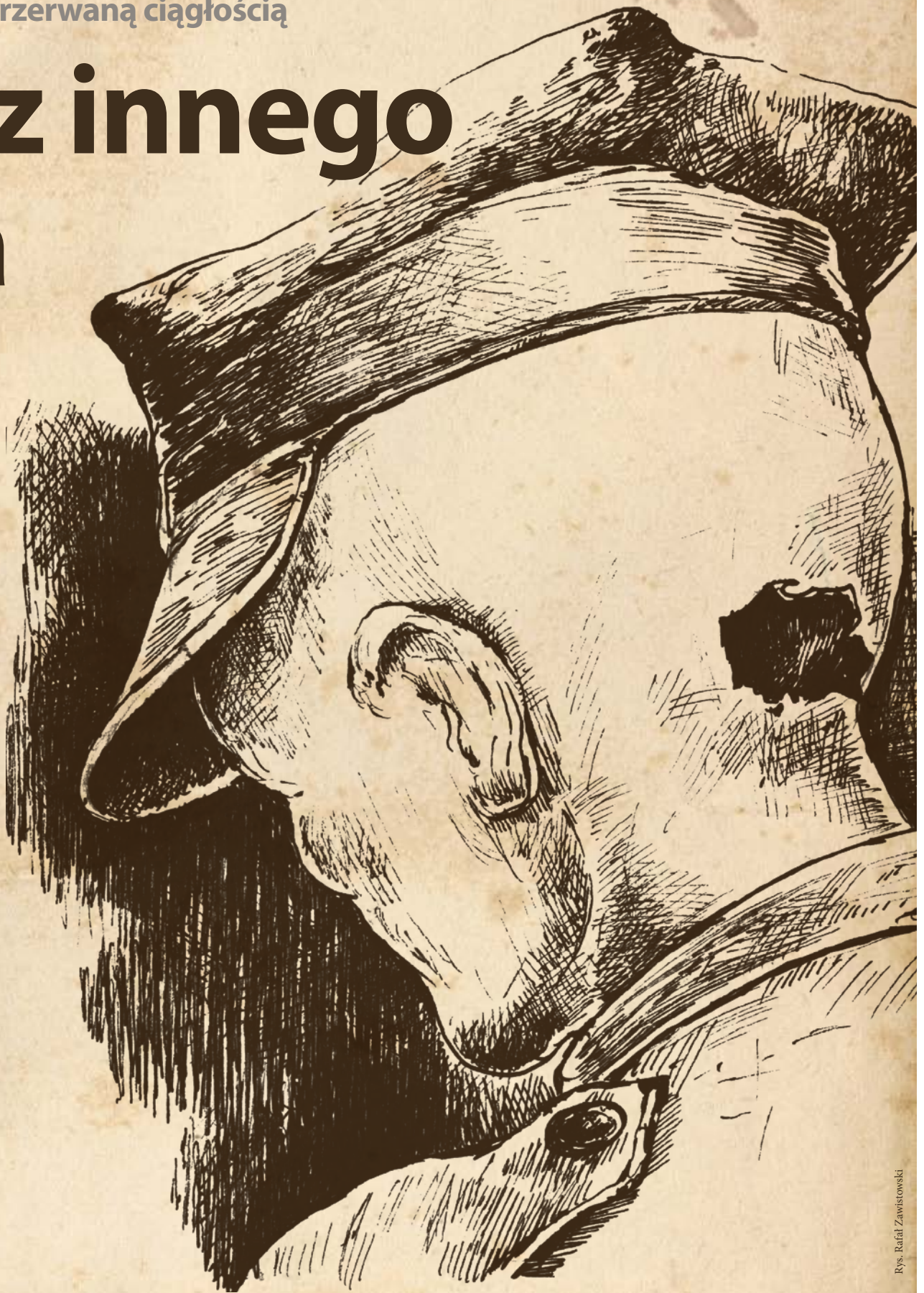
Bezwartościowa broń elit

Oddajemy w Państwa ręce dodatek, który w zamyśle ma pokazać most nad „zerwaną ciągłością”. Most, jaki łączy pokolenie „Żołnierzy Wyklętych” z dzisiejszym, często urodzonym już w „wolnej Polsce”, często spisywanym na straty, pokoleniem, któremu przypisuje się nihilizm, brak autoryte-

tów. Tymczasem okazuje się, że to, czym karmiono ich przez lata III RP, było dla nich zwyczajnie nie do przyjęcia. Kłamstwa założycielskie PRL, lata zmiekczenia kręgosłupów, konieczność walki o najprostsze rzeczy sprawiły, że wchodzący w III RP Polacy przyjęli ją z dobrodziejstwem inwentarza. A jaki ten inwentarz był, wiemy. Dzika prywatyzacja, upadek obyczajów, kultury, wreszcie rozwarstwienie społeczne i bardak polityczny skazały miliony ludzi na alienację w zbiorowości, zmuszały do życia w dysonansie poznawczym. To dlatego dziś, kiedy ostatecznie chwieją się mity fundatorskie III RP, część Polaków broni ich tak, jak część pokolenia ich rodziców broniło „zdobyczy komunizmu” – rzekomej pracy dla wszystkich, ciepłej wody i wyczekane-

go mieszkania – luksusów po hektombie II wojny światowej.

„Wyklęci”, jako autorytety i kompas moralne, są wyjątkowi z jednego powodu. Są z innej rzeczywistości. Jak zapomniany pamiętnik dziadka, jak list w butelce znaleziony nad brzegiem morza. Jak kapsuła czasu, odkopana przypadkiem podczas leśnego spaceru. Ich życie, walka, śmierć, ponadczasowe wartości, którym hołdowali, wreszcie legenda. Trudno z nimi walczyć przy pomocy współczesnego arsenału socjotechniki – pogardy, rehotu, relatywizacji. To dlatego są tak groźni dla „władców dusz”. Przybywają z innego świata. W przekletej „płynnej ponowoczesności” – diagnozie rzeczywistości pióra majora KBW Zygmunta Baumana – wygrywają tę walkę. Bez jednego wystrzału.



Rys. Rafał Zawistowski



Fot. Marcin Pegaz/Gazeta Polska



WYWIAD \ Z prof. KRZYSZTOFEM SZWAGRZYKIEM, pełnomocnikiem prezesa IPN ds. poszukiwań miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego, rozmawia JACEK LIZINIEWICZ

Wierzę, że takie czasy nastaną

Jestem przekonany, że właśnie na „Łączce” odnajdziemy generała „Nila” i rotmistrza Witolda Pileckiego – mówi prof. Szwagrzyk

Rozmawiamy w przeddzień 1 marca – Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

Jestem bardzo zadowolony, że to święto z roku na rok nabiera tak ogromnego rozmachu. Nie ma miasta i miasteczka, w którym nie byłoby ono obchodzone. To chyba jedyne święto państwowe, którego obchody mają tak oddolny charakter. Mam nadzieję, że nadal tak to będzie się rozwijać, bo to naprawdę piękna idea.

Która nazwa jest właściwsza: Żołnierze Wyklęci czy Niezłomni?

Rzeczywiście są dwa pojęcia określające żołnierzy walczących po 1944 roku z systemem komunistycznym. W sensie prawnym i w ogólnym odbiorze społecznym mamy do czynienia z pojęciem Żołnierzy Wyklętych. Mamy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, który obchodzimy 1 marca. Należy pamiętać, że zwrot ten narodził się w latach 90. w środowisku Ligi Republikańskiej. Organizacja ta stworzyła wystawę o żołnierzach podziemia antykomunistycznego właśnie pt. „Żołnierze Wyklęci”. To się przyjęło, bo pokazywało, że ci niezłomni bohaterowie w wolnej Polsce nadal są na uboczu życia publicznego, skazani na zapomnienie. Dziś jednak jest zgoła inaczej i wiele osób argumentuje, że nie można piętnować tych żołnierzy tytułem wyklętych, bo to sugeruje, że są niegodni, mają na swoim koncie czyny, których powinni się wstydzić. Osobiście staram się używać określenia „niezłomni”, ale w pełni rozumiem tych, którzy posługują się tytułem „wyklęci”. Trochę żałuję, że wcześniej nie znaleźliśmy nazwy, która nie budziłaby żadnych kontrowersji. Tak jak np. na Litwie, gdzie żołnierzy walczących z bolszewikami po 1944 roku określa się mianem: „Leśni Bracia”. To nie budzi wątpliwości.

W jakich miastach prowadzone są poszukiwania Żołnierzy Niezłomnych i jak wygląda dotychczasowe podsumowanie prac?

Do tej pory udało się odnaleźć ponad 700 szczątków ludzkich na terenie całej

Polski. Około 40 z nich udało się zidentyfikować. Przed nami jeszcze lata pracy. Mamy świadomość, że mówimy co najmniej o kilkunastu tysiącach osób, których ciała ukryto w nieznanych miejscach. Patrząc na skalę terroru komunistycznego, może się wydawać, że te 700 osób to mało, ale proszę pamiętać jednak, że jeszcze kilka lat temu było to nie do pomyślenia. Nikt nie uwierzyłby w to, że kiedyś zidentyfikujemy majora Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”, Hieronima Dekutowskiego „Zaporę”, Bolesława Kontryma „Żmudzina”, Danutę Siedzikówną „Inkę”. Dziś oczekiwania rosną, ale ja proszę o właściwą ocenę tych prac. One zwyczajnie potrzebują czasu. Zadania są realizowane, już niedługo znowu ruszamy w teren i mam nadzieję, że znowu będziemy mogli mówić o kolejnych odnalezionych szczątkach.

Ile jest miejsc w Polsce, które trzeba zbadać?

Dziś mamy wytypowanych kilkadziesiąt miejsc na terenie całego kraju. Na ten rok zaplanowaliśmy badania w kilkunastu z nich.

Widać w Polsce ogromne zaangażowanie, społeczne wsparcie. Czuje Pan to?

Zdecydowanie tak. Bez względu na to, gdzie prowadzimy działania, towarzyszą nam ludzie dobrej woli – bardzo wielu wolontariuszy w różnym wieku i z różnych środowisk, zgłaszających się do pomocy przy pracach poszukiwawczych. To bardzo budujące. Powiedziałbym nawet, że czasem zgłasza się tak wielu ludzi, iż części z nich musieliśmy odmawiać, bo np. ograniczało nas miejsce, w którym prowadziliśmy badania. Staramy się jednak nie ograniczać dostępu do prac, bo doceniamy tę dobrą wolę.

Chyba najwięcej emocji budzi dzisiaj sprawa warszawskiej „Łączki”. Jaki jest obecnie stan prac?

Nie znam stanu zaawansowania działań do przeprowadzenia III etapu prac na „Łączce”. Wiem, że prowadzone są działania ze strony wojewody mazowieckiego, by dojść do porozumienia



Fot. Marcin Pegaz/Gazeta Polska



Fot. Marcin Pegaz/Gazeta Polska

Pogrzeb z honorami – bo na taki zasłużyli ci polscy bohaterowie



Fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

Wielu ofiarom komunistycznego terronu udało się już przywrócić godność

z rodzinami, które mają tam groby z lat 80., aby przenieść ich bliższych w inne miejsce. Nie znam przebiegu tych rozmów. Ja i moi współpracownicy jesteśmy w stanie w ciągu kilku dni spakować się i niemal natychmiast rozpocząć prace w Warszawie. Bardzo chcielibyśmy zakończyć prace na „Łączce”.

Można przypuszczać że tam znajdują się szczątki rtm. Witolda Pileckiego czy gen. Augusta Emila Fieldorfa „Niła”?

Nie ma powodu, dla którego komuniści mieliby szczątki tych dwóch bohaterów traktować inaczej niż pozostałych. Skoro mieli specjalne pole grzebalne, które znajdowało się na samym końcu cmentarza, skoro był to teren kontrolowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bez-



Bez względu na to, gdzie w Polsce prowadzimy działania, towarzyszą nam ludzie dobrej woli – bardzo wielu wolontariuszy chce się angażować w odszukiwanie naszych bohaterów.

pieczeństwa, wreszcie – skoro odnaleźliśmy tam straconych na Rakowieckiej „Łupaszkę”, „Zaporę” i „Żmudzina”, to jestem przekonany, że i tych dwóch bohaterów właśnie na „Łączce” odnajdziemy.

A inne plany? Wspomniał Pan o kilkunastu miejscach.

Z całą pewnością będziemy prowadzić prace w Warszawie i Gdańsku. Co do innych lokalizacji, to z różnych powodów nie chcę ich ujawniać, bo miejsca, które podajemy do publicznej wiadomości, nagle stają się celem aktywności różnego rodzaju grup i stowarzyszeń. Chciałbym uniknąć tego, aby ktoś na własną rękę prowadził prace poszukiwawcze.

Ideałem byłoby odnalezienie wszystkich Niezłomnych, ale zapewne – jak każdy pasjonat – ma Pan żołnierza, którego odzyskanie jest dla Pana szczególnie istotne?

Z całą pewnością jest to rotmistrz Witold Pilecki. General August Emil Fieldorf „Nił”. Płk Łukasz Ciepliński „Pług” i cały zarząd główny organizacji „Wolność i Niezawisłość”. A także prawie 200 partyzantów Henryka Flamego „Bartka” zamordowanych gdzieś na Opolszczyźnie, w trzech różnych miejscach, których mimo badań nie udało się ustalić. Wierzę, że takie czasy nastaną.

SYLWETKA \ Od likwidacji ubeków do katedry naukowej

„Śmiga” – naukowiec z przeszłością

Walczył z okupantem niemieckim i sowieckim. Jednak o tym, że był żołnierzem, a potem dowódcą jednego z oddziałów walczących również po wojnie – nie mieli pojęcia nawet członkowie jego bliskiej rodziny. Tymczasem on wiedział, że walka czynna wciąż jest koniecznością. Tylko ona mogła być tamą dla bezkarności NKWD i bezpieki



Marian Mordarski „Śmiga”

Maciej Korcuć

Jest 10 lutego 2003 r. Wrocław. Na cmentarzu św. Wawrzyńca odbywa się pogrzeb prof. dr. hab. Mariana Mordarskiego, światowej miary autorytetu w dziedzinie mikrobiologii, wieloletniego kierownika Zakładu Mikrobiologii, a następnie wicedyrektora i dyrektora Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN zwanej popularnie „Instytutem Hirszfelda”. Jako „visiting profesor” Mordarski wykładał w różnych krajach Europy, Ameryki i Azji. Był autorem i współautorem specjalistycznych opracowań monograficznych o zasięgu światowym. Aż do 1999 r. był dyrektorem Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej Polskiej Akademii Nauk we Wrocławiu.

Wychował kilka pokoleń naukowców. Jego współpracownicy i podwładni podkreślali, że największą pasją Profesora były wędrowki górskie – silnie związane ze wspomnieniami z lat walk niepodległościowych. W latach 90. już wiedzieli, że to pasja nieprzypadkowa. Z górami na Sudecczyźnie łączyły go wspomnienia z walk partyzanckich w szeregach Armii Krajowej w czasie niemieckiej okupacji. O tym, że Mordarski był żołnierzem, a potem dowódcą jednego z oddziałów walczących również po wojnie – nie mieli pojęcia nawet członkowie jego bliskiej rodziny.

„Orzeł”

Luty 1944 r. Szesnastoletni Marian Mordarski zostaje zaprzysiężony jako żołnierz placówki AK w Nawojowej pod Nowym Sączem. Przysięgę odbiera osobiście por. Józef Stadnicki „Majej”, „Kazimierz”, „Kozub”. Mordarski otrzymuje pseudonim „Orzeł”. Jako młody chłopak jest łącznikiem i gońcem. Przenosi tajne informacje, pewnie też ukryte meldunki. Zagrożony wyspą – zostaje skierowany do oddziału partyzanckiego AK. Jego oddział wejdzie w skład IV Batalionu 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK.

Szybko sprawdza się również w trudnych zadaniach. Bierze m.in. udział w likwidacji folksdojczy Hansa Sikory w Jazowsku. Potem w akcji spalania

mostu „pod Hubą” na Dunajcu, w starciu pod Tylką koło Krościenka, w rozbiciu placówki niemieckiej w Tylmanowej, a także w zdobyciu i rozbrojeniu placówki w Jazowsku. W ostatnich tygodniach roku zostaje żołnierzem jednego z oddziałów specjalnych powołanych przez dowództwo pułku. To dowód zaufania.

12 grudnia 1944 r. Mordarski uczestniczy w ataku na niemiecką placówkę ochrony kolei w Pisarzowej k. Limanowej. 13 stycznia 1944 r. bierze udział w walkach w rejonie Szczawy-Bukówki, gdzie AK-owcy skutecznie bronią przed Niemcami magazynu broni i sprzętu zrzutowego. W momencie zajęcia Sądecczyzny przez Sowieców jest już doświadczonym, ostrzelanym żołnierzem. Szybko się okazuje, że walka czynna wciąż jest koniecznością. Tylko ona może być tamą dla bezkarności NKWD i bezpieki.

Ubowiec Lecyn

17 kwietnia 1945 r. Limanowa. Żołnierz „Oddziału Samoobrony AK” rozbijają siedzibę Powiatowego UB. Obsadę plutonu wartowniczego stanowią chłopcy z partyzantki – jeszcze niedawno służący w oddziale Ludowej Straży Bezpieczeństwa Wojciecha Dębskiego „Bicza”. Przeniknęli do bezpieki, ale już po kilku tygodniach okazuje się, że nie da się tępić ostrej represji. UB jest podporządkowane NKWD. Następuje stopniowa weryfikacja lojalności wobec nowej władzy. Rozumieją, że muszą decydować: albo zostać w UB i szczerze zaangażować się po stronie komunistów w tępienie niepodległościowego oporu, albo uciekać do lasu. Już wybrali – to w porozumieniu z nimi i przy ich pomocy oddział AK rozbija arest, uwalnia AK-owców uwięzionych przez bezpiekę.


Na piętrze budynku zamyka się i barykaduje kierownik urzędu z żoną i grupą wiernych mu ubeków. Należy do nich także jeden z partyzantów LSB – Tadeusz Lecyn „Czapka”. On wybrał inaczej niż jego koledzy. Przyszłość swoją widział w prawdziwej, a nie pozorowanej służbie nowemu systemowi. Uczestniczy w obronie piętra. Strzela przeciw niedawnym kolegom z oddziału, czym zyskuje uznanie w oczach ranego kierownika UB.

68

SCISLE TAJNE

ZATWIERDZAM
[Podpis]
 Z-ca Kierownika Urzędu
 do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego
 Nowy Sącz 1956 r.

Do
 Z-cy Kier. P.U.d/s.B.P. w Nowym Sączu
(stanowisko zwierzchnika i nazwa jednostki operacyjnej)
 kpt. Kuciel Władysława
(stopień i nazwisko zwierzchnika)



R A P O R T
 o zarejestrowaniu w ewidencji ogólnoinformacyjnej

Oficer Operacyjny P.U.d/s.B.P. w Nowym Sączu chor. Walczak Józef
(stanowisko, nazwa jednostki, stopień, nazwisko i imię pracownika)

Rozpatrzywszy materiały dot.: MORDARSKI Marian ps. "Orzeł" - "Ojciec" - "Śmiga" syn
(nazwisko, imię, imię ojca, data i miejsce urodzenia)
 Jozefa, ur. 10.XI.1927r. Nowy Sącz, zam. Wrocław ul. Lwowska Nr.7 m.7.
(podaj podstawowy treść materiałów i powołaniem się na źródła ich otrzymania)

Na podstawie odpisów oświadczeń z ujawnienia z 1945r. i 1947r., doniesień agenturalnych i dokumentów archiwalnych po bandzie, stwierdzam, że w/w w czasie okupacji był członkiem Armii Krajowej na terenie powiatu Nowy Sącz i Nowy Targ. Po wyzwoleniu ponownie wstąpił do bandy najpierw Piszcza Stanisława ps. "Okrzeja" a następnie był dowódcą bandy terrorystyczno rabunkowej podległej bandzie "Ognia". W bandzie tej brał udział w całym szeregu napadów rabunkowych i morderstwach na członków partii pracowników U.B. W.P. i innych posiadając broń palną do czasu amnestji 1947r. W 1947r. w czasie amnestji ujawnił się w P.U.B.P. w Nowym Sączu, gdzie następnie wyjechał do Wrocławia i tam obecnie przebywa.

W związku z tym, że wymienione materiały posiadają dla organów bezpieczeństwa wartość operacyjną, proszę o zezwolenie na zarejestrowanie MORDARSKI Marian
(nazwisko i imię)
 w ewidencji ogólnoinformacyjnej, w kategorii
(podaj kategorię ewidencji)
 i przekazanie materiałów dot. w/w do archiwum Departamentu X (Wydz. X)

Załączniki: materiały na arkuszach.

Nowy Sącz 14.VIII. 1956 r.

[Podpis]
(podaj nazwisko)

Wzr Nr EO-29

Materiał dotyczący kontroli i inwigilacji „Śmigi”

Lecyn przechodzi na stronę komuny duszą i ciałem. Mógł się zawahać – kilka tygodni później, w maju 1945 r., w tym samym limanowskim UB zatłoczono kijami na śmierć jego byłego dowódcę – „Bicza” Dębskiego. U Lecyna to jednak niczego nie zmienia – gorliwością chce sobie zaskarbić względy nowych mocodawców. Jeszcze w tym samym miesiącu uczestniczy w obławie UB we wsi Kicznia. Wśród rannych od kul UB jest Genowefa Kroczek „Lotte” – młoda dziewczyna, która w czasie wojny prowadziła sieć konspiracyjnych szpitalików dla partyzantów. Lecyn

był jednym z tych, którym ocalała kiedyś życie. Ale dla niego nie ma to żadnego znaczenia. Podchodzi do „Lotte”, która leży na ziemi. Jest ranna w nogę. Lecyn kategorycznie żąda ujawnienia kryjówki jednego z partyzantów. Kobieta odpowiada, że nie wie. Patrząc mu prosto w oczy, dodaje, że nawet gdyby wiedziała, nie zdradziłaby. „Czapka” pozbawia ją życia jednym strzałem z pistoletu w głowę. Ale to nie był czas bezkarności bezpieki. Na „Czapkę” wydano wyrok śmierci. Próbowano go zlikwidować dwukrotnie. Bezskutecznie.

Dorwać „Czapkę”

Mija kilka tygodni. Jest 19 czerwca 1945 r. Rynek w Limanowej. Ciepły początek wieczoru, do zmroku jednak daleko. Po robocie w siedzibie UB Tadeusz Lecyn w towarzystwie innego ubecka, Antoniego Zonia, idzie na piwo. Lecyn ma pistolet w nowiutkiej kaburze. Wchodzą do restauracji Kazimierza Florka. Nie wiedzą, że są obserwowani przez dwóch ludzi. Jeden z nich to osiemnastoletni wówczas Marian Mordarski „Orzeł”. Drugi – Jan Millan „Pantera”. Nie zwracają niczyjej uwagi. To

ważne: w pobliżu znajduje się siedziba Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Nie tracą czasu. Obaj wchodzą do restauracji, w której przed chwilą zniknęli dwaj ubecky. Pierwszy idzie Mordarski. To on odpowiada za wykonanie wyroku. Widzi „Czapkę” nad kuflem piwa. Wyciąga broń i błyskawicznie przykładą mu do głowy. Po ciąga za spust... Niewypał. „Czapka” zrywa się. Próbuje uderzyć Mordarskiego jedną ręką, drugą jednocześnie sięga po swój pistolet. Mordarski momentalnie odskakuje za próg. „Czapka” rzuca się za nim z pistoletem w dłoń. Strzela. Tam jednak nieoczekiwanie trafia na Millana z niemieckim automatem gotowym do strzału. Seria. Lecyn zostaje trafiony w piersi i brzuch. W sumie otrzymuje pięć pocisków. Sam wystrzelał cały magazynek, ale kule jedynie poszarpały Mordarskiemu rękaw.

Wyrok wykonany. Teraz szybki odwrót, bo na rynku od razu usłyszano strzały. Liczy się każda sekunda. Wybiegają. Sypią się strzały ubeków wybiegających z nieodległego budynku. Ale bezładny pościg nie odnosi skutku. Chłopcy bezpiecznie wycofują się i docierają do swoich. To niejedyna akcja z udziałem Mordarskiego. Potem – w latach 1946–1947 pod pseudonimami „Śmiga” i „Ojciec” – dowodzi Oddziałem Partyzantkim AK „Grot” – jednym z oddziałów zgrupowania Józefa Kurasia „Ognia”. Wykonuje wiele akcji. Były i likwidacje funkcjonariuszy, i starcia zbrojne, i udane ataki na posterunki milicji.

Przetrwąć

Po śmierci „Ognia” Mordarski – tak jak inni – ujawnia się i składa broń. Próbuje zadomowić się na ziemiach zachodnich. Trafia na Dolny Śląsk. Rozpoczyna studia. Pod skrzydła bierze go kierownik Zakładu Mikrobiologii Akademii Medycznej we Wrocławiu prof. Ludwik Hirszfild, który dostrzeżga w młodym człowieku niezwykły potencjał. Jeszcze przed formalnym ukończeniem studiów, w 1950 r. proponuje mu posadę asystenta. Mordarski propozycję przyjmuje i pracuje najpierw jako wolontariusz, potem jako asystent. Mordarski w latach stalinizmu i późniejszych całkowicie poświęca się nauce. Rozpoczyna studia doktoranckie w Instytucie Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN we Wrocławiu. Ta naukowa nisza pozwala mu przetrwać. Cały czas jest pod obserwacją bezpieki. Niczego nie zmienia tzw. odwilż w 1956 r. SB nieustannie poszukuje „haków” na młodego naukowca. Wciąż jest rozpracowywany jako – jak to ujęto w końcu lat 50. – „kadrowy bandyta z przeszłości”. Blokowano mu wyjazdy zagranicę, ale bezskuteczność zabiegów bezpieki i rosnący autorytet w mikrobiologii z czasem spowodowały, że Mordarskiemu zezwolono na naukowe wizyty – najpierw w krajach komunistycznych, potem nawet na Zachodzie. Dożył wolnej Polski. W latach 90. aktywnie działał w organizacjach kombatanckich AK. Dla prymitywnych esbeków na zawsze był wykłętym bandytą. Dla wielu zwykłych ludzi – prawdziwym autorytetem.

Dr Maciej Korcuć jest naczelnikiem Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej w krakowskim oddziale Instytutu Pamięi Narodowej.

Fot. ze zbiorów IPN

WYWIAD \ Z JACKIEM PAWŁOWICZEM, kierownikiem Referatu Edukacji Historycznej IPN,

Święte miejsce przy Rako

To było piekło na ziemi. Tak jak Niemcy stworzyli piekło na ziemi w Auschwitz, tak komuniści stworzyli piekło na Rakowieckiej. Każda część tego więzienia jest przesiąknięta krwią polskich patriotów – mówi Jacek Pawłowicz

Mamy informacje, że na początku 1945 r., kiedy więzienie było w zarządzie sowieckim, i jeszcze pewien czas później, pod murami więzienia odbywały się egzekucje, a więźniów nigdzie nie wywożono, tylko chowano na jego terenie.



Fot. Zbyszek Kaczmarek/Gazeta Polska

Więzienie przy ul. Rakowieckiej to jedno z najbardziej przerażających miejsc w Warszawie. Pan jest osobą, która na ten temat chyba wie wszystko. Skąd to zainteresowanie?

To jedno z najważniejszych miejsc pamięci narodowej w Warszawie. To właściwie golgota warszawska, miejsce, w którym komuniści wymordowali elitę Wojska Polskiego. Tych niezłomnych, którzy walczyli z komunistami, ale i tych, którzy zaufali komunistom i wrócili do kraju. Dlatego to tak bardzo ważne. Jednocześnie jest to najlepiej zachowane historyczne więzienie. W 100 proc. przetrwała tam esencja historyczna, z małymi wyjątkami dotyczącymi karcerów. Odnajdujemy jednak te miejsca, które zostały zmienione, i przy odrobinie zaangażowania możemy je odtworzyć.

Myślałem, że powie Pan, iż w stanie wojennym sam przesiedział parę miesięcy na Rakowieckiej...

To mało istotne. Nie da się porównać tego, co było w latach 80., w stanie wojennym, z tym, co cierpieli na Rakowieckiej Żołnierze Wyklęci.

Rtm. Witold Pilecki stwierdził, że przy Rakowieckiej „Oświęcim to była igraszka”. Rzeczywiście było tak źle?

To było piekło na ziemi. Tak jak Niemcy stworzyli piekło na ziemi w Auschwitz, tak komuniści stworzyli piekło na Rakowieckiej. W 1946 r. został wybudowany tzw. pawilon śledczy, przez więźniów zwany

„pawilonem cudów”. Tam rzeczywiście z ludźmi wyrabiano cuda. Wszystkie znane bandytom z UB metody tortur były tam stosowane wobec żołnierzy antykomunistycznego podziemia.

Katownia Wyklętych?

Tak, ale nie tylko ich. To także katownia sanitariuszek i uczestników Powstania Warszawskiego. Nie trzeba było prowadzić działalności konspiracyjnej, wystarczył związek z Armią Krajową, by trafić do tego piekła. Sadzanie na nodze od stołka. Bicie różnymi przedmiotami. Miażdżenie jąder czy w przypadku kobiet stosowanie szczotek do mycia toalet w trakcie przesłuchań było codziennością. Jest taka porażająca relacja jednej z łączniczek Powstania Warszawskiego, która słyszała, jak jej przyjaciel z powstania, odznaczony Orderem Virtuti Militari, krzychał: „Mamo, ratuj!”. Co ten człowiek musiał przechodzić, krzycząc w więzieniu takie słowa?

Jak wyglądała codzienność w Areszcie Śledczym przy ul. Rakowieckiej?

Różnie, w zależności od pawilonu. Były np. cele, które przed wojną były 2-osobowe, a po wojnie upychano w nich 20 więźniów.

Pewnie w takich celach nawet nie dało się spać...

Spano na zmianę. Część stała, a w tym czasie pozostali spali. Oczywiście na siennikach. Były również

inne cele, w dzisiejszej części administracyjnej. Tam w jednym pomieszczeniu siedziało nawet po 60–80 osób. Także tu leżały sienniki, ale zdarzały się też łóżka piętrowe. Do siedzenia były ławy, a nie stołki. Reasumując: każdy pawilon był różny, ale każda część więzienia jest uświęcona krwią polskich patriotów. Wiemy na pewno, że zachowało się jedno z miejsc pod „pawilonem cudów”, gdzie wykonywano egzekucje na korytarzu. To właśnie tam co roku Zofia Pilecka składa kwiaty w dniu śmierci ojca i w dniu pamięci Żołnierzy Wyklętych. Takich miejsc było kilka. Ostatnio przy kotłowni, z drugiej strony więzienia, zlokalizowaliśmy miejsce, gdzie przeprowadzano większość egzekucji.

Strzelano w tył głowy, czy były też inne sposoby?

Strzał w tył głowy był najpopularniejszą metodą, powszechnie stosowaną. Na Rakowieckiej również wieszano. Wiemy, że szubienice znajdowały się w dwóch miejscach – w ruinach dawnego szpitala i w ruinach drukarni. Są zachowane fotografie i filmy, które to potwierdzają.

Z czego wynikało to, że część osób wieszano, a część ginęła od strzału w tył głowy?

Folksdojców, Niemców, Ukraińców wieszano. To byli zdrajcy narodu polskiego. W stosunku do żołnierzy podziemia niepodległościowego stosowano strzał w tył głowy. Były szczególne przypadki. Aby

rozmawia JACEK LIZINIEWICZ

wieckiej

upodlić gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”, powieszono go. On w ogóle został skazany za kolaborację z Niemcami. To już prawdziwe kuriozum. Jeden z najważniejszych dowódców najpiękniejszej polskiej armii, człówek, który wydał wyrok na kata Warszawy Franka Kutschere, który dowodził najważniejszą strukturą w AK, czyli Kedywem, który walczył z Niemcami, został skazany za zdradę – przez komunistów, prawdziwych zdrajców i kolaborantów.

Ile osób zginęło w Areszcie Śledczym na Mokotowie po 1945 r?

Nie wiemy tego dokładnie. Z jednej strony mówimy o tych, którzy zostali skazani na karę śmierci, ale musimy pamiętać o osobach, które zostały tam zamordowane w śledztwie i które zmarły ze względu na panujące tam warunki. To było miejsce, gdzie nie obowiązywały żadne normy. Na 80 więźniów przypadał jeden sedes, jedna umywalka. Prysznic był nie dla wszystkich i dla niektórych był raz w tygodniu, a dla innych raz w miesiącu. Ci ludzie siedzieli spoceni, zalani krwią, chorzy. W różnym stanie. Tak więc Rakowiecka to miejsce, gdzie kilka tysięcy osób zostało zamordowanych lub zmarło w wyniku nieludzkich warunków.

Czy po 26 latach wolności Rakowiecka jest dobrze zbadana?

Dzięki życzliwości funkcjonariuszy Służby Więziennej, o których dzisiaj można mówić jedynie w superlatywach, możemy na Rakowieckiej pracować. Czekamy jednak jeszcze sporo do zrobienia, chcemy zbadać cały teren więzienia. Trzeba zorganizować prace archeologiczne w zasypanych tunelach, gdzie w niszach z pewnością znajdują się pozostałości karcerów. Wiemy, że zasypano bunkier, w którym również odbywały się egzekucje. Ciągłe też nie wiemy, co znajduje się pod murem więzienia. Mamy informacje, że na początku 1945 r., kiedy było ono pod zarządem sowieckim, i jeszcze pewien czas później, pod murami odbywały się egzekucje, a więźniów nigdzie nie wywożono, tylko chowano na terenie więzienia.

O pamięć ofiar więzienia przy ul. Rakowieckiej walczy jedynie IPN?

Nie. Na Rakowieckiej działa np. Fundacja „Historia zza Krat – Ocalić od Zapomnienia”, która zajmuje się historią służby więziennej. Tej przedwojennej. Oni znaleźli ostatnio niebywałą relikwię pochodzącą z czasów niemieckich. Jeden z więźniów tworzył pamiętnik, rysując portrety towarzyszy niedoli. Miał niesamowity talent. Jego dzieła przetrwały, ponieważ na terenie więzienia działała drukarnia – więźniowie ten pamiętnik oprawili i umieścili w bibliotece na półce z książkami. Dziś to jest relikwia. A przy okazji niesamowita historia.

Rakowiecka to miejsce święte, więc czy powinno być nadal wykorzystywane jako areszt śledczy?

Nie. To powinno być muzeum ofiar dwóch totalitaryzmów: niemieckiego i komunistycznego. W 1944 r. Niemcy wymordowali większość więźniów i Rakowiecka stała się miejscem egzekucji dla mieszkańców Mokotowa. Po 1945 r. w więzieniu popełniano zbrodnie komunistyczne. Absolutnie całe więzienie powinno stać się muzeum. Chociażby 3. pawilon, dawny 12., jest miejscem, gdzie przetrzymywano działaczy antykomunistycznego podziemia. Tego późniejszego. Tam siedzieli członkowie ROP-CiO, KOR-u, Solidarności, Solidarności Walczącej, Federacji Młodzieży Walczącej, RMKS-u. I możemy tak dalej wymieniać organizacje i ludzi. To miejsce musi stać się muzeum. Tym bardziej że wszystko jest dobrze zachowane. Wystarczy oskrobać farbę, czasem skuć tynki, by pojawiły się napisy więźniów. To trzeba zachować.



Golgota warszawska – tu torturowano i mordowano walczących o wolną Polskę



„Każda część więzienia jest usświęcona krwią polskich patriotów”

Fot. arch.

Fot. arch.

Szymon Nowak

Ranek 6 maja 1945 roku oddział Zorina, mając prawie na karkach uciekających szybko kilku partyzantów od „Majki”, wkroczył środkiem drogi do Kuryłówki. Ubezpieczenie wsi stanowili żołnierze „Radwana”, którzy zaalarmowani strzałami w pośpiechu zajmowali stanowiska obrony. Ale sami byli zbyt rozproszeni, by skutecznie wstrzymać napór Rosjan, a ich strzały – początkowo chaotyczne i niecelne. Nawet Bronisław Gliniak nie był w stanie uporządkować działań swoich partyzantów i dlatego Polacy zaczęli cofać się przed NKWD. Kiedy partyzanci opuścili już centrum Kuryłówki, do wsi dotarł wreszcie kpt. Przysiężniak i przejął dowodzenie. „Ojciec Jan” trzeźwo i trafnie ocenił sytuację. Nie do pomyślenia było dla niego, że czterdziestu Polaków cofało się

wało przyjąć z Kulna dwudziestu Sowieców dowodzonych przez lejtn. Gołubiewa, ale ostrzelani przez polskie erkaemy zalegli na podejściach do wioski. Nie mogli nic zrobić dla swoich towarzyszy ginących we wsi.

Po godzinie od pierwszych strzałów nastąpił przełom w walce. Od południa (z Tarnawca) do Kuryłówki dotarł zaalarmowany bitwą kilkudziesięcioosobowy oddział „Majki” i od razu na rozkaz „Ojca Jana” wszedł do akcji, próbując oskrzydlić Sowieców znajdujących się we wsi. Polacy dwoma grupami przemykali za stodołami zagród z jednej i drugiej strony drogi prowadzącej środkiem wsi. Na początku posuwali się niezauważeni i zdawało się, że uda im się okrążyć oddział NKWD i zmusić go do poddania się. Kiedy partyzanci „Majki” byli już blisko celu, zostali dostrzeżeni przez dwudziestu bojców okopanych na skraju. Wywiązała się ostra strzelanina na tyłach głównej sowieckiej grupy. Odgłosy

kiego, na co ich stać. Przygnębiające wrażenie robili zabici i ranni polscy partyzanci. Tych ostatnich przenoszono na tyły, a potem zawożono furmankami na plebanię do oddalonego od Kuryłówki o pół kilometra Tarnawca, gdzie ks. Węglowski i sanitariuszki urządzili punkt sanitarny.

* * *

Sowieckie grupy Zorina i Gołubiewa postanowiły utrzymać się w Kulnie. Radzieccy żołnierze niecierpliwie czekali na posiłki i rozpoczęcie ataku ze wschodu przez drugą wielką grupę bojową, tę z 372. Pułku NKWD. Nie mogli wiedzieć, że o godzinie ósmej rano grupa ta niespodziewanie natknęła się na uzbrojonych Polaków w rejonie zagubionej w leśnej głuszy wsi Szegdy. Wywiązała się krótka, acz gwałtowna

kę i Karpenkę. Członkowie tej grupy rozpędzili jakieś niewielkie polskie ubezpieczenia we wsi Brzyska Wola (według ich meldunków – zabijając aż dwudziestu Polaków), a teraz kierowali się na zachód, idąc w kierunku, z którego dobiegały odgłosy wystrzałów.

W tę samą stronę maszerowała z Ożaniny silny oddział „Wołyniaka”. Na podejściach do Kuryłówki obie wrogie grupy niespodziewanie się spotkały. Pełne zaskoczenie po obu stronach. Dość powiedzieć, że nie otworzono ognia od razu, ale próbowano rozmawiać. Widocznie Rosjanie wzięli polski oddział za zależne od siebie komunistyczne wojsko, a i Zadziński, gnając z odsieczą do Kuryłówki, nie spodziewał się w tym miejscu Sowieców.

– Komandir! Komandir! – zakrzyknął sowiecki oficer i wraz z dwoma żołnie-

HISTORIA | Bitwy Wyklętych

Jeńców nie brano

W obliczu wiekuistości minionych pokoleń ojców i praocjów, w obliczu nieśmiertelnego ducha Ojczyzny mojej, Polski, ślubuję i przyrzekam, że w każdym miejscu i we wszystkich okolicznościach walczył będę z najeźdźcami o całkowite przywrócenie wolności Narodu. Tak mi dopomóż Bóg!

przed blisko sześćdziesięcioma Sowiecami. Skrzyknął natychmiast wycofującą się grupę „Radwana” i na jej czele przeszedł do kontrnatarcia.

– Hurra! – Okrzyk niósł się po wiosce i odbijał echem od budynków.

Polacy walczyli zażarcie, świadomi, że bronią swoich najbliższych, własnych rodzin, żon, dzieci i matek. Pełni zapału rzucali się na enkawudzistów, zwierając się z nimi w walce wręcz, na kolby, bagnety i pięści. Szczególnie krwawe zmagania trwały w centrum Kuryłówki, pod budynkami szkoły i gminy, które kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk. „Ojciec Jan” z tyłu obserwował pole bitwy i, widząc, gdzie słabnie polska obrona, tam kierował grupki uzbrojonych żołnierzy swojego ostatniego odwodu.

Sowieci chyba zaczęli mieć dość walki. Ciała ich żołnierzy leżały w piachu pośrodku drogi. Słusznie jednak przewidywali, że odwrót ze wsi na odsłonięte pole może poskutkować paniką i całkowitą zagładą oddziału. Dlatego też trwali w bezpardonowej walce razem ze swym dowódcą, co rusz zmieniając puste magazynki na nowe. Na pomoc grupie lejtn. Zorina próbo-

walki zastanowiły Zorina i zmusiły go do podjęcia szybkiej decyzji. Sowiecki dowódca i jego żołnierze mieli tylko jedno wyjście – natychmiastowe wycofanie się drogą, którą tu przyszli. Wyczerpani dotychczasową walką i już prawie bez amunicji enkawudziści uciekli z Kuryłówki na północ, osłaniany przez dwudziestu bojców, którzy po chwili również wycofali się do Kulna. Za uykającymi Sowiecami ruszyły grupy „Radwana” i „Majki”, zabijając po drodze kilku Rosjan, w tym jednego oficera, i zdobywając sporo broni. Gdy sowieckie grupy dotarły do Kulna i zajęły pozycje obronne na skraju wsi i w lesie, Polacy, choć upojeni zwycięstwem, zawrócili do Kuryłówki. Rosjanie zaś okopywali się, by być gotowymi do twardej obrony. Czekali na dalszy rozwój wypadków.

W Kuryłówce Polacy nie mieli zamiaru świętować zwycięstwa. Wprawdzie wypędzili Rosjan ze wsi, lecz na fetowanie było za wcześnie. Choć na młodych, zmęczonych twarzach gościł uśmiech, to każdy w głębi serca prze-czuwał, że to jeszcze nie koniec walki. Że Sowieci jeszcze nie pokazali wszyst-



Polscy partyzanci „Ojca Jana”, od lewej: Stanisław Bałut „Bruzda” i Stanisław Pelczar „Majka”

walka. Sowieccy dowódcy, myśląc, że mają do czynienia z większym polskim zgrupowaniem, zdecydowali o natychmiastowym odwrócie w stronę Majdanu Sieniawskiego. Tam bojcy zabarykadowali się i przygotowali do obrony okrzęnej. Postanowienie niewychylania nosa było wśród nich tak silne, że przez cały dzień 6 maja i następną noc żołnierze nie podejmowali żadnych działań, ograniczając się do zatrzymywania kilkunastu bezbronnych cywilów z zajmowanej wsi. Sowiecka grupa pozostawała głucha na odgłosy walki toczącej się w Kuryłówce i prośby o wsparcie, jakie docierały do nich za pośrednictwem gońców.

Tymczasem do Kuryłówki zbliżali się inni Sowieci. Było to około pięćdziesięciu żołnierzy z 11. Pułku NKWD, prowadzonych przez lejtnantów Łazaren-

rzami oderwał się od sowieckiej linii, zmierzając ku Polakom. Naprzeciw nim wyszedł Józef Zadziński „Wołyniak” oraz ubezpieczający go z erkaemem Aleksander Pityński „Kula”.

– Trzymaj dystans, ale uważaj. Jakby coś, to wal – szepnął jeszcze „Wołyniak” i odważnie podszedł do Sowiecia, którego towarzysze również pozostali nieco z tyłu i ostentacyjnie zawiesili hełmy na lufach pepezów, dając znak, że nie mają zamiaru strzelać.

Początkowo rozmowa toczyła się spokojnie, ale kiedy Sowiec zorientował się, że ma do czynienia z partyzantami podziemia, a nie „ludowym” Wojskiem Polskim (WP), zażądał natychmiastowego poddania się. Słowa te wywołały jedynie uśmiech politywania na twarzy „Wołyniaka”. Polacy mieli przewagę liczebną, a Sowieci

przez przypadek znaleźli się w potrzasku pomiędzy polską obroną w Kuryłówce a nadciągającą odsieczą Zadzierskiego. Mimo tak niekorzystnego układu Rosjanin oburzał się:

– Pacziemu wy naszych żołdatów ubiwajecie?!

– A pacziemu wy do naszych partyzantów strzelacie?! – odrzyknął „Wołyniak” i po chwili, nieco zaskoczony, szamotał się z Rosjaninem, który próbował siłą wziąć polskiego dowódcę do niewoli.

– Pajdiosz... – sapał zaaferowany Sowiec, usiłując obezwładnić polskiego dowódcę.

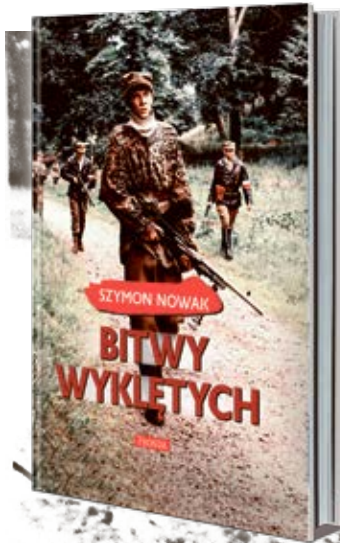
W jego rękę mignął rewolwer, ale i „Wołyniak” zdołał już wyciągnąć swojego visa. Niemal równocześnie huknęły strzały i dwie postacie runęły na ziemię. „Kula” jedną serią położył trupem dwóch Sowieców stojących z tyłu. Jeden padł martwy, nie zdążywszy nawet sięgnąć po swoją pepeszę. Drugi, zanim został trafiony, zdążył wystrzelić i lekko zranić „Kulę” w szyję. Po chwili z ziemi podniósł się cały i zdrowy „Wołyniak”. Zabrał mapnik radzieckiego oficera i wycofał się do oddziału. Rosjanie, widząc śmierć swych towarzyszy, bez zastanowienia, wściekli, ruszyli na Polaków.

– Podpuścić ich bliżej – rozkazał „Wołyniak”, a jego żołnierze ustawili się w linii, przygotowując broń. Kiedy Sowieci podeszli dostatecznie blisko, na rozkaz dowódcy zagrzmięła salwa polskich partyzantów. Enkawudziści padli i rozpoczęli ostrzeliwanie, usiłując skokami zbliżyć się do Polaków i przejść do bezpośredniego starcia na bagnety, a potem wdrzeć się do wioski.

W tym samym czasie inna radziecka grupa, wykorzystując zamieszanie i strzelaninę na południu wsi, próbowała niepostrzeżenie z przeciwnego kierunku, od strony Sanu, dostać się do Kuryłówki. Oddział ten został zatrzymany zmasowanym ogniem polskiej obrony. Polska wieś była już niemal całkowicie otoczona przez Sowieców. Nieprzyjacielskie kule nadlatywały ze wszystkich stron, od Kulna, od Brzykskiej Woli i Sanu. Wolna droga pozostała jedynie na południu, od strony Tarnawca i Ożanny. Cała Kuryłówka rozbrzmiewała strzałami. Niektórzy partyzanci przysięgali potem, że we wsi wybuchały nawet pociski moździerzy, wystrzeliwane gdzieś zza rzeki, chyba ze Starego Miasta od strony Leżajska. Na dodatek znanu Sanu rozpoczął ostrzał sowiecki snajper i zdołał położyć trupem dwóch Polaków, zanim ochotnicy zlikwidowali go, przynosząc jako niecodzienne trofeum karabin snajperski z lunetą.

Rozpoczął się najtrudniejszy moment bitwy. Sowieckie „Urrra!” niosło się po całej okolicy, a strzały było słychać zewsząd. Mogło się wydawać, że za chwilę pęknie polska obrona, a partyzanci pójdą w rozsypkę i uciekną z placu bitwy lub padną w boju pod naporem sił wroga.

Ale, o dziwo, partyzanci wytrzymali najcięższy napór nieprzyjaciela i celnym ogniem rozbili zmasowany atak sowieckich enkawudzystów. Na żołnierzy podziałą znakomity przykład walczących na pierwszej linii dowódców: „Wołyniaka”, „Radwana” i „Majki”. A także spokój i opanowanie, jakie wykażał główny komendant „Ojciec Jan”, wydając rozkazy z centrum wioski. Polacy odrzucili natarcie Rosjan i niespodziewanie, nawet dla siebie samych, przeszli do kontruderzenia. Na początku na grupę Łazarek i Karpenki uderzył oddział „Wołyniaka” i wspomagają



Uroczystości w Ożannie, kilka dni przed bitwą pod Kuryłówką. Przed frontem żołnierzy ich dowódcy, od lewej: Józef Zadzierski „Wołyniak”, Stanisław Pelczar „Majka”, Bronisław Gliniak „Radwan”



Młodzi elewi, dezertrzy z podchorążówki w Laszkach. Ożanna, 3 maja 1945 r.

ją go podchorążowie z Laszek. To był wyjątkowy widok, kiedy młodzi chłopcy na czele z „Tadą” ruszyli tyralierą na linię NKWD i po sekundzie roznieśli Sowieców w bezpośrednim boju na bagnety. Pomimo wielkiego doświadczenia we wcześniejszych walkach, również frontowych, Sowieci nie wytrzymali siły tego natarcia i poczęli bezładnie się wycofywać. Na ich karkach pędzili polscy partyzanci, skutecznie rażąc umykających wrogów. To wtedy padło najwięcej Rosjan – zabitych i rannych, którym uciekający towarzysze nie byli w stanie pomóc. A Polacy jeńców spośród enkawudzystów nie brali... Sowieci zatrzymali się dopiero w lesie znajdującym się na wschód od Kuryłówki. I chociaż byli rozbici, to na skraju drzew utworzyli skuteczną linię obrony, odpierając szturm partyzantów NOW–NZW.

W tym samym czasie zgrupowaniu „Ojca Jana” udało się rozbić i zmusić do ucieczki sowiecką grupę, która atakowała od strony Sanu. W tym starciu wyróżnił się konny oddział partyzantów od „Wołyniaka”, który w błyskawicznej

szarży natarł na radzieckie linie. Rosjanie zostawili pięciu zabitych i uciekli dwoma grupkami. Większa skierowała się w stronę Leżajska i prędko przeprawiła się przez rzekę, znajdując oparcie w Starym Mieście, po drugiej stronie Sanu. Druga odeszła na północ. Polskie oddziały z każdej strony wsi przeszły już do kontrnatarcia i odrzuciły Rosjan od Kuryłówki. Polacy twardo trzymali się w zabudowaniach wioski i na podejściach do niej.

Nastąpiła krótka przerwa w walce, podczas której partyzanci ze zgrupowania Przysięźniaka znosili swoich rannych do połowego punktu medycznego, aby udzielić im natychmiastowej pomocy. Uzupelniano również amunicję, którą na rozkaz kapitana dostarczono ze specjalnych tajnych magazynów broni.

Po tak solidnym laniu Sowieci lizali rany i nie byli w stanie podjąć od razu kolejnej ofensywnej akcji. Stracili poważną część wojsk zaangażowanych w walkę i jak dotąd spotykały ich same niepowodzenia. W tym momencie utrzymywali rejon Kulna i linię lasu na wschód od Kuryłówki. I pewnie zostali-

by przy tych stanowiskach, nie niepokojąc już partyzantów, gdyby nie dotarł do nich st. lejtn. Tatyżskij z kilkudziesięciuosobową grupą żołnierzy. To na jego rozkaz około godziny piętnastej od strony północno-wschodniej ruszyło kolejne natarcie na Kuryłówkę. Ale radzieckim bojcom z NKWD już nie chciało się walczyć i po raz kolejny ryzykować życia. Bez wiary szli do ataku i po pierwszych strzałach zalegli przed zabudowaniami wsi. Na nic zdały się pokrzykiwania dowódców, próbujących zmusić żołnierzy do powstania i ataku. Kilkanaście minut trwała wzajemna wymiana ognia, po czym Sowieci wycofali się do Kulna, by tam oczekiwać na wsparcie. Drogą radiową otrzymali bowiem meldunek, że z pomocą ciągnie do nich od Biłgoraja tysiąc żołnierzy z czołgami.

Strzały cichły. Walka o Kuryłówkę wygasła.

.....
Tekst pochodzi z książki autorstwa Szymona Nowaka „Bitwy Wykłętych” (Frona 2016).
Dziękujemy Autorowi i Wydawnictwu za możliwość publikacji.

Fot. ze zbiorów Andrzeja Pityńskiego

Fot. arch.

LITERATURA \ Jak pisano o podziemiu niepodległościowym

10 utworów o Żołnierzach Wyklętych

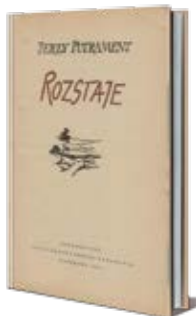
W literaturze Polski Ludowej Wyklętych ukazywano jako bandytów i kryminalistów. Ta sytuacja zmieniła się w ostatnich latach. Mariusz Solecki, autor książki „Literackie portrety Żołnierzy Wyklętych”, przedstawia czytelnikom „Gazety Polskiej” tę swoistą ewolucję

**„Piosenka o wilkach” (1951)**

To wcale nie Z. Herbert nazwał po raz pierwszy antykomunistycznych partyzantów wilkami. W skojarzeniu z tymi szlachetnymi zwierzętami uprzedził autora „Pana Cogito” o 41 lat K.I. Gałczyński. Szkopuł w tym, że Gałczyński miał diametralnie odmienne intencje niż Herbert: postawił sobie za cel „zdemaskować” oblicze powojennego podziemia. Zadanie wykonał – w jego wierszu ogłoszonym w „Przekroju” żołnierze wyklęci sięgnęli bruku jako specjaliści od bomby i kastetu, zdrajcy wynagradzani dolarami, watahy „pracęgo” do III wojny H. Trumana.

**„Zgodnie z prawem” (1952)**

Opowiadanie Jacka Bocheńskiego o „bandzie WiN-u” dowodzonej przez „Mikołaja”. Winowcy ci dopuścili się szeregu potworności. Nie tylko zabijali swoje ofiary z PPR, ale i torturowali je tak, jakby pobierali nauki od gestapo. Tzw. bezpieczeństwo szybko poradziło sobie z „reakcjonistami”, ujęło także ukrywającego się komendanta. Jakież było zdziwienie „Mikołaja”, kiedy ubek prowadzący jego śledztwo przesłuchiwał go „zgodnie z prawem”, tj. ani razu nie podniósł nań ręki. Taki to wersal obowiązywał na salonach UB.

**„Rozstaje” (1954)**

Przesłanie „Rozstajów”, powieści Jerzego Putramenta, można sprowadzić do sloganu z jednego z komunistycznych plakatów: „Tęp bandytów z NSZ” (1946). Eneszetowiec płk „Turoń” i jego żołnierze zostali ukazani w utworze w bandycko-demonicznym świetle; jako formacja zbrodnicza, faszystowska („brunatne od krwi łapy leśnego bandyty”), przyjmująca w swoje szeregi upowców, folksdojczów, esesmanów, odpowiedzialna za rozpętanie terroru w Polsce pod nowymi rządami („wojna domowa, którą rozhuścić usiłował leśny bandyta”).

**„Kolumbowie” (1957)**

Warto przeczytać III, najślabszą część „Kolumbów” Romana Bratnego, choćby dla sceny rozbicia ubeckiego więzienia w Kielcach przez ZO kpt. A. Hedy „Szarego”. Po odwilży – wcześniej był nieprzejednany, w publicystyce nazywał „bandami” i „faszystami” winowskie oddziały kpt. Z. Brońskiego „Uskoka” oraz L. Taraszkiewicza „Jastrzębia” – kolaborujący z komunistami prozaik, był akowiec, wypowiada się bowiem o poakowskiej konspiracji względnie przyzwoicie. Nie da się już tego powiedzieć o stosunku Bratnego do podziemia narodowego. Narrator III części „Kolumbów” wyraża się o eneszetowcach w jak najgorszych słowach, przykładowo: „Zygmuntowi” rozbijającemu banderowców, nim zdezerterował z LWP, imputuje myśli o następującej treści: „Tak. Miałbym rację, gdybym nawet spotkał oddziałek NSZ-u”.

**„Błędne ognie” (1972)**

W powieści „Błędne ognie” Zbigniew Domino, stalinowski prokurator przekwalifikowany na literata, bezwzględnie rozprawia się z kpt. K. Kamińskim „Huzarem”, kreując go na zadufanego w sobie watażkę. Prozaik czyni też wszystko, co w jego mocy, by skompromitować innych uczestników antykomunistycznego podziemia z północno-wschodnich obszarów Polski, m.in. kpt. W. Łukasiuka „Młota” i por. W. Buczaka „Ponurego”. Wciąż płodny artystycznie pisarz po rozprawieniu się w PRL-u z partyzantami niezłomnymi, w III RP nabija rodaków w butelkę „Syberiady polskiej”.

**„Całopalenie” (1980–1987)**

Najobszerniejsze literackie opracowanie problematyki Żołnierzy Wyklętych, gigantyczna, wydana w czterech tomach, licząca niemal 2 tys. stron epopeja Józefa Mortona. Znajdziemy w niej krytyczne sądy o dowódcy Brygady Świętokrzyskiej NSZ, obleje nas zimny pot, gdy będziemy czytać o niektórych czynach eneszetowców; zżymać się będziemy na manierę konsekwentnego pisania wielką literą wyrazu „Czerwoni”. Pomimo tych obiekcji należy uznać wydane w oficjalnym(!) obiegu „Całopalenie” za pierwszy hołd złożony Żołnierzom Wyklętym Narodowych Sił Zbrojnych.

**„Wszystko nie tak” (1989)**

Zbliża się polski Październik, w powietrzu czuć atmosferę odwilży, jednak nie dotrze ona do zatęchłego bunkra, w którym ukrywa się przed UB kpt. Henryk ps. „Ryba”. Jego schron jest zmyślnie wydrążony pod zabudowaniami jednego z gospodarzy. A jednak – kula KBW dosięgnie ostatniego Mohikanina poakowskiego podziemia, na którego powieściową sylwetkę złożyły się losy ppor. S. Marchewki „Ryby”, przetworzone głównie literacko i trochę propagandowo przez Dionizy Sidorowskiego.

**„Boruta” (2007)**

Akcję swojego dramatu Bohdan Urbankowski osnuł wokół dziejów partyzanckiej rodziny Białowasów, nagłośnionych w 2009 r. przez spektakl Sceny Faktu Teatru Telewizji „Tajny współpracownik” w reż. K. Langa. W „Borucie” zachodzą na siebie dwie platformy czasowe: okres stalinowski z początkiem lat 80. XX w. Mimo że nie są bohaterami głównymi sztuki Urbankowskiego, Żołnierze Wyklęci stanowią centralny układ odniesienia dla jej zrozumienia i dla zrozumienia przemian ustrojowych dokonujących się w Polsce od powstania NSZZ „Solidarność”.

**„Opowiem ci o wolności” (2012)**

Powieść Waclawa Holewińskiego o Pannach Wyklętych: M. Nachtman „Agacie” i W. Stempkowskiej „Platerówce” z podziemia narodowego. Na pierwszym planie biografie twardych dziewczyn, łączniczki NSZ/NZW, których nie złamali ani hitlerowcy, ani stalinieści. W tle: dwie okupacje, fałszywa Arkadia PRL-u, plejada bohaterów zakopywanych przez komunistów na śmietnikach pamięci i dosłownych (kpt. J. Morawiec „Remisz”, kpt. R. Rajs „Bury” i in.), węzły gordyjskie polskiej historii – to tylko niektóre walory książki uhonorowanej Nagrodą im. Józefa Mackiewicza.

**„Łączka” (2013)**

Przemysław Dakowicz podnosi z powązkowskiej kwatery „Ł” szczątki eksterminowanych członków antykomunistycznego podziemia, by pogrzebać je z honorami w swoich przejmujących wierszach. Znajdziemy w „Łączce” utwory o tuzach pojałtańskiego ruchu oporu, m.in: mjr. H. Dekutowski „Zaporze”, rtm. W. Pileckim, ppor. E. Taraszkiewiczu „Żelaznym”. Znajdziemy dobrą poezję, niewstydzając się patriotycznych uniesień. Znajdziemy wreszcie Żołnierzy Wyklętych wstępujących w należną im chwałę.

HISTORIA \ Rotmistrz i jego oprawcy

Święty polskiego patriotyzmu

25 maja 1948 r. o godz. 21.30 w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie komunistyczni siepacze zamordowali strzałem w tył głowy Witolda Pileckiego. W wolnej Polsce oskarżyciel, krwawy prokurator Czesław Łapiński, któremu Instytut Pamięci Narodowej postawił zarzut mordu sądowego na Pileckim, nie doczekał wyroku – zmarł w 2004 r. Winnych jest jednak więcej



Tadeusz Płużański

15 marca 1948 r. wyrok na Pileckiego i jego współpracowników wydał – wspierany zakłamanymi tezami oskarżycielskimi prokuratora Czesława Łapińskiego o szpiegostwie i zaprzęgnięciu się obcym mocarstwom – Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie w składzie: ppłk Jan Hryckowian (przewodniczący, a zarazem szef sądu; przedwojenny prawnik; w czasie wojny AK-owiec odznaczony Krzyżem Walecznych; skazał na śmierć co najmniej 16 żołnierzy niepodległościowego podziemia), kpt. Józef Badecki (też przedwojenny prawnik; wydał co najmniej 29 wyroków śmierci, m.in. na mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zaporę”) i kpt. Stefan Nowacki (ławnik, funkcjonariusz Informacji Wojskowej).

Wyciąć wrzód

– Mama nie brała udziału we wszystkich rozprawach, nie była w stanie – mówi Andrzej Pilecki, syn rotmistrza. – Mówiła mi, że na sali sądowej zauważyła, iż Ojciec miał pozrywane paznokcie. Wiem również, że podczas jednej z przerw przekazał jej grzebyk.

Andrzej Pilecki szczególnie zapamiętał dzień ogłoszenia wyroku: – Mama wróciła z Warszawy roztrzęsiona. Nie chciała nam nic powiedzieć. Tak było przez kilka następnych lat. O szczegółach procesu opowiedziała mi dopiero na wakacjach w Świdrze w 1951 r.

O karze śmierci dla Witolda Pileckiego syn rotmistrza dowiedział się z radia: – Słuchałem wszystkich relacji z procesu, było ich bardzo dużo. Ojca i jego współpracowników obrzucano błotem, zarzucano, że są szpiegami, że zdradzili swój kraj. Bałem się, że wyrok będzie wysoki. Moich kolegów z gimnazjum skazano na pięć lat więzienia tylko za to, że mieli powielacz.

– W szkole na ścianach wisiały szczekaczki. Kiedy transmitowano relacje z procesu, nauczycielka spytała mnie w obecności całej klasy: „Czy ty jesteś córką tego szpiega?” Potwierdziłam. Byłam dumna z Ojca, bo wiedziałam, że bardzo nas kocha i że jest wielkim patriotą – mówi Zofia Optułowicz, córka Pileckiego.

W przerwie rozprawy rotmistrz Pilecki zdołał szepnąć do Eleonory Ostrowskiej (swojej kuzynki): „Ja już żyć nie mogę, mnie wykończono. Bo Oświęcim to była igraszka”.

Zofia Optułowicz: – Boli mnie zaciekleść, jaką kierował się prokurator wobec mojego Ojca. Był wyjątkowo zajadły, zarówno na rozprawie, jak i później. Po wyroku mama poszła do Łapińskiego z prośbą o pomoc. Wtedy powiedział jej: „Pani mąż to wrzód na ciele Polski Ludowej, który trzeba wyciąć”.

Córka rotmistrza pamięta, że po śmierci rotmistrza mama, jako nauczycielka, nie mogła znaleźć pracy w zawodzie. – Mnie nie chcieli przyjąć na studia – dodaje.

Andrzej Pilecki też miał problemy z kontynuowaniem nauki: – Zaczęło się od tego, że chciałem zrobić kurs szybownictwa w ramach stowarzyszenia „Służba Polsce”. Wszystko szło dobrze, dopóki nie dowiedzieli się, że jestem synem Witolda Pileckiego.

W sądzie, patrząc na Łapińskiego, Andrzej Pilecki powiedział: – Przez to, że zamordowaliście mi Ojca, żyliśmy w nędzy. Byłem w przytułku dla sierot.

„Ludzie słabi są zdolni do każdej zbrodni”

Proces Czesława Łapińskiego, oskarżonego przez Instytut Pamięci Narodowej o podżeganie do mordu sądowego na bohaterze Polski Podziemnej, odbywał się przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Warszawie. Za bezprawne żądanie kary śmierci wobec Pileckiego i trzech jego współpracowników – Tadeusza Płużańskiego (mojego Ojca), Makarego Sieradzkiego i Marii Szelągowskiej – w wolnej Polsce groziło mu dożywocie. Jeśli emerytowany ppłk Czesław Łapiński zostałby skazany, byłby to pierwszy przypadek, kiedy w III RP wymierzono sprawiedliwość prokuratorowi, będącemu na usługach komunistycznego systemu bezprawia. Tak się jednak nie stało, gdyż proces zawieszono ze względu na chorobę oskarżonego, który wkrótce zmarł. A stało się to w warszawskim szpitalu przy ul... rotmistrza Witolda Pileckiego.

Zaraz po wyroku skład sędziowski w tajnej opinii napisał: „Z uwagi na popełnienie przez Pileckiego i Płużańskiego najcięższych zbrodni zdrady stanu i Narodu, pełną świadomość działania na szkodę Państwa i w interesie obcego imperializmu, któremu całkowicie się zaprzęдали, przejawioną przez nich na przestrzeni dłuższego okresu czasu wyjątkową aktywność w pracy szpiegowskiej, wielką szkodę, jaką wyrządzili Państwu w okresie jego odbudowy (...) – skład sądzący uważa, że ci obaj na ulaskawienie nie zasługują”.

Po latach Tadeusz Płużański ocenił: „Słabość moralna i polityczna tych ludzi czyniła z nich po prostu szmaty, którymi można było wytrzeć każdą podłogę, nawet najbrudniejszą. Słabość jest najstraszniejszą cechą charakteru. Ludzie słabi są zdolni do każdej zbrodni”.

„Rozkaz wykonałem”

Witold Pilecki urodził się w Ołońcu w Karelii (północno-zachodnia Rosja), gdzie rodzina została zesłana za udział w powstaniu styczniowym. Od 1910 r. Pileccy mieszkali w Wilnie, gdzie Witold uczył się w szkole handlowej. Od 1914 r. należał do zakazanego przez władze rosyjskie harcerstwa (w 1916 r. założył własną drużynę). W latach 1918–1921 służył w Wojsku Polskim, walczył w wojnie z bolszewikami. Dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych. Studiował na Wydziale Rolnym Uniwersytetu Poznańskiego i Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Stefana Batorego.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości dał się poznać jako świetny gospodarz w odzyskanym majątku Pileckich – Sukurcze niedaleko Lidy.

W wojnie obronnej 1939 r. jego ułani zniszczyli siedem niemieckich czołgów i dwa nieuzbrojone samoloty. 17 października przeszedł do konspiracji. Współzakładał z jedną z pierwszych antyniemieckich organizacji Tajną Armię Polską. We wrześniu 1940 r. TAP dotknęły aresztowania i część członków przewieziono do KL Auschwitz. Na jednej z porad ustalono, że ktoś z kierownictwa organizacji dostanie się do obozu „w celu wysondowania możliwości uwolnienia niektórych więźniów, zdobycia materiałów dotyczących złego traktowania więźniów politycznych, zorganizowania podziemnej organizacji wewnątrz obozu. Do wykonania zadania zgłosił się ochotniczo por. Witold Pilecki” – pisze Kazimierz Malinowski w pracy „Tajna Armia Polska”.

19 września 1940 r. Niemcy urządzili w Warszawie wielką łapankę. Pilecki przebywał wówczas na Żoliborzu, w mieszkaniu Eleonory Ostrowskiej przy al. Wojska Polskiego. Mimo iż mógł się ukryć, sam wyszedł do stojącego w drzwiach żołnierza niemieckiego. Kuzynce szepnęła: „Zamelduj, gdzie trzeba, że rozkaz wykonałem”.

Na ochotnika do piekła

21 września 1940 r. Witold Pilecki (jako Tomasz Serafiński) stał się numerem 4859. „Transport wtacza się na bocznicę kolejową w Oświęcimiu.



Zdjęcie wykonane w więzieniu na Mokotowie

W świetle reflektorów, przy pomocy bicia pałkami, opróżnia się wagony. Krzyki Niemców, jęki bitych i szczutych psami więźniów, strzelanina – wydawało mi się, że znalazłem się w piekle” – pisał po wojnie rotmistrz.

Od pierwszych dni w Auschwitz organizował siatkę konspiracyjną pod nazwą Związku Organizacji Wojskowej. Należeli do niej m.in.: Stanisław Dubois, Xawery Dunikowski i Bronisław Czech. ZOW działał w systemie tzw. piątek. Pilecki tak o tym opowiadał: „Każda z tych »piątek« nie wiedziała nic o »piątkach« innych i sądząc, że jest jedynym szczytem organizacji, rozwijała się samodzielnie, rozgałęziając się tak daleko, jak ją sumą energii i zdolności jej członków plus zdolności kolegów stojących na szczeblach niższych, a przez »piątkę« stale dobudowywanych, naprzód wypychały”. Bieżącym celem była pomoc współwięźniom. Przez pralnicze komando i za pomocą uciekinierów z obozu Pilecki wysyłał do generała „Grota” Roweckiego raporty (przekazywane następnie na Zachód), informując, że Auschwitz nie jest zwykłym obozem pracy, ale wielką fabryką zagłady. Możliwość tego świata nie chcieli jednak uwierzyć...

Docelowym zadaniem ZOW było wyzwolenie obozu. Miało to nastąpić własnymi siłami (w końcu 1942 r. pion wojskowy organizacji liczył co najmniej kilkuset zaprzysiężonych konspiratorów, wyposażonych w broń wykradzioną ze zbrojowni SS) i dzięki pomocy z zewnątrz. Komenda Główna AK w Warszawie uznała jednak, że plan Witolda jest zbyt niebezpieczny (sama tylko załoga SS w Auschwitz liczyła od 6,5 tys. do 8 tys. osób). Na początku 1943 r. Pilecki był już tak znany w obozowym podziemiu, że w każdej chwili groziła mu dekonspiracja. Pytanie, dlaczego?

Petycje byłych więźniów

W nocy z 26 na 27 kwietnia 1943 r. Pilecki wraz z dwoma współwięźniami (Janem Redzejem i Edwardem Ciesielskim) zdołał uciec z obozu. W Auschwitz pozostawił silną organizację, a starannie przemyślana hierarchia wtajemniczenia miała chronić ZOW przed wyspą. Dodatkowym zabezpieczeniem była specjalna grupa, która likwidowała najgroźniejszych funkcyjnych i konfidentów. To jednak okazało się niewystarczające.

Według relacji dr. Rafała Brzeskiego Pilecki po powrocie do kraju w 1945 r. zwierzył się działaczowi przedwojennej PPS Timofiejowi Jarudze, że w Auschwitz działał konfident o pseudonimie „Tor”. Do obozu trafił z Krakowa, przewieziony na-

stępnie do Mauthausen, po wojnie stanął na czele podporządkowanej komunistom Polskiej Partii Socjalistycznej. Inny więzień Auschwitz, PPS-owiec Stanisław Dubois, opowiadał, że „Tor” był widziany podczas rozmowy z szefem Politische Abteilung, oddziału politycznego obozowego gestapo, Grabnerem bez wiedzy dowództwa konspiracyjnej organizacji. W wyniku denuncjacji tylko w jednej egzekucji zginęło kilkudziesięciu więźniów, w tym członkowie kierownictwa ZOW, z wyjątkiem trzech osób, których „Tor” nie znał.

Historia ma jednak z „Torem” problem. W opracowaniach o Związku Organizacji Wojskowej i w relacjach świadków nie pojawia się człowiek o takim pseudonimie. W kierownictwie ZOW była natomiast osoba, której charakterystyka odpowiada opisywanemu konfidentowi. Nosiła pseudonim „Rot”, a był to... Józef Cyrankiewicz.

Przed ucieczką z Auschwitz Pilecki miał spotkać się z „Torem” i dać do zrozumienia, że został rozszyfrowany. Po wojnie wysłał list do Cyrankiewicza, w którym zarzucił mu, że kłamliwie przedstawia swoje zasługi dla obozowej konspiracji (Cyrankiewicz robił z siebie twórcę ruchu oporu w KL Auschwitz). Petycje pisane przez byłych więźniów o łaskę dla Pileckiego do Cyrankiewicza (komunistycznym premierem – na długie lata – został trzy miesiące przed aresztowaniem rotmistrza) okazały się bezskuteczne...

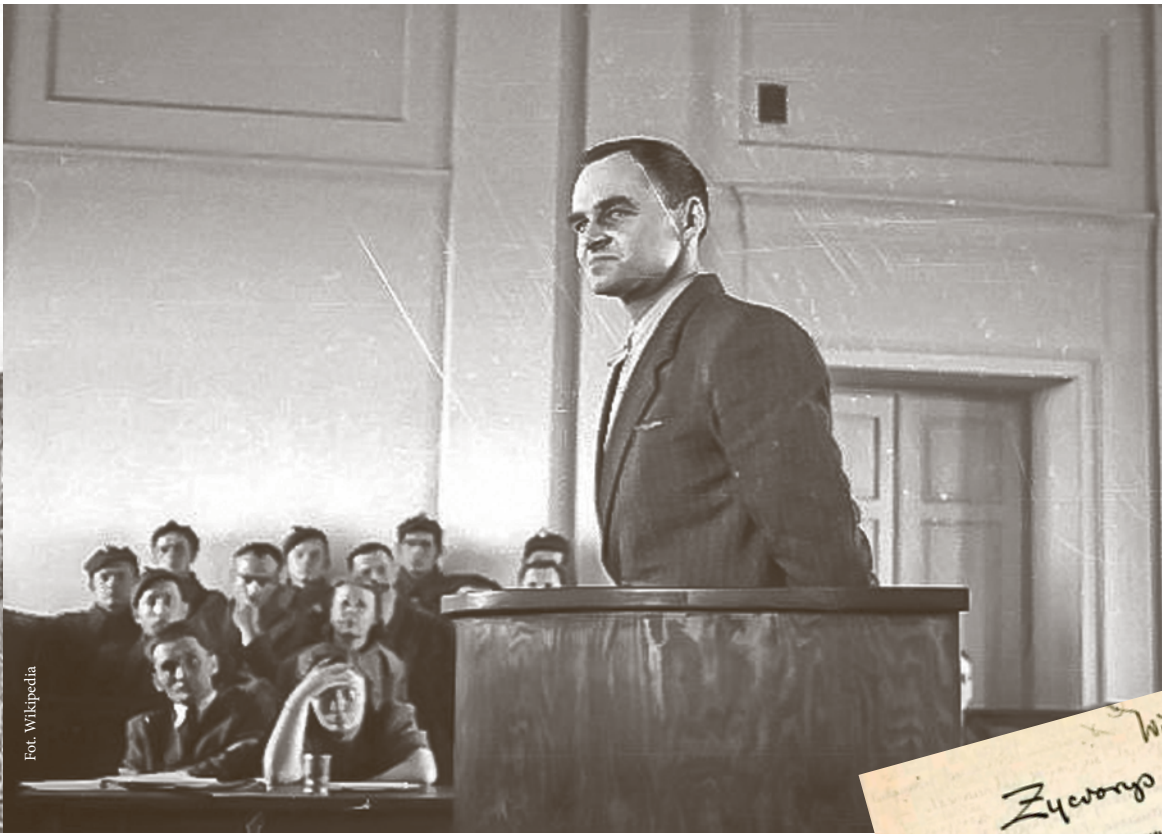
„Ktoś tu musi trwać”

Witold Pilecki brał udział w Powstaniu Warszawskim. Początkowo walczył jako zwykły strzelec w kompanii „Warszawianka”, później dowodził jednym z oddziałów zgrupowania Chrobry II. Jego reduta przy placu Starynkiewicza nigdy się nie poddała.

W latach 1944–1945 przebywał w niewoli niemieckiej w stalagu 344 Lamsdorf (pol. Łambinowice) oraz oflagu VII A w Murnau. Otrzymał przydział do 2 Korpusu Polskiego. 5 i 11 września 1945 r. Pilecki rozmawiał z gen. Władysławem Anderssem o powrocie do kraju, by realizować cele antykomunistycznej organizacji „NIE”. 8 grudnia 1945 r. razem z Marią Szelągowską dotarł do Warszawy.

– Dla Ojca walka się nie skończyła – mówi Zofia Optułowicz, córka rotmistrza. – Składała przecież żołnierską przysięgę na wierność Rzeczypospolitej i jej legalnym władzom. Nowej, ludowej rzeczywistości nie zaakceptowała. Marzyła o wolnej Polsce.

Pilecki zorganizował siatkę konspiracyjną, która przesyłała na Zachód dane o terrorze w Polsce, na stanowieniu społeczeństwa do nowych władz. Miał



Rotmistrz Witold Pilecki podczas procesu w 1948 r.

rozładowywać zbrojne podziemie. W skrytce gromadził archiwalia z czasów okupacji. Najważniejsze były te z pobytu w KL Auschwitz. W czerwcu 1946 r. Pilecki dostał informację o groźącym mu niebezpieczeństwie. Nie wykonał rozkazu gen. Andersa wzywającym go do Włoch, co określił słowami: „Ja stąd nie wyjadę. Ktoś tu musi trwać bez względu na konsekwencje”.

W maju 1947 r. cała siatka została aresztowana przez UB. Eleonora Ostrowska wspominała: – Któregoś dnia przyszło do mnie dwóch panów. Prosiłi, abym wydała im pamiętnik i wszystkie rzeczy Witolda. Zgodziłam się, bo pokazali upoważnienie z oryginalnym podpisem Pileckiego. Nie wiedziałam wówczas, że jest już na UB. Potem zrozumiałam, że w pamiętniku mogły być materiały podważające rolę Cyrankiewicza w obozie.

W latach 80. Zofia Optułowicz poszła do niego, aby pomógł odnaleźć grób rotmistrza. Powiedziała, że jest córką Witolda Pileckiego. Wówczas Cyrankiewicz zapytał: „A kto to jest?”

Pod szczególnym nadzorem

Nad „właściwym” przebiegiem śledztwa i procesu czuwał zastępca naczelnego prokuratora wojskowego do spraw szczególnych (oskarżenie Pileckiego i jego współpracowników miało charakter szczególny) ppłk Henryk Podlaski.

Prokurator Czesław Łapiński do końca swoich dni kłamał, że przed rozprawą Podlaski i jego szef – naczelną prokuraturę wojskową – Stanisław Zarako-Zarakowski (Rosjanin, słynny kat Polaków) mieli mu obiecać, iż żaden wyrok śmierci w tej sprawie nie zostanie wykonany (tak jak Hryckowian AK-owiec, zaraz po wojnie wydał wiele wyroków śmierci w Wydziale do Spraw Doraźnych białostockiego Sądu Okręgowego, potem, jako szef Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Łodzi skazywał żołnierzy Konspiracyjnego Wojska Polskiego kpt. Stanisława Sojczyńskiego „Warszycą”). Łapiński miał w te obietnice uwierzyć.

W dokumentach czytamy: Podlaski Hersz, syn Mojżesza i Szpryncy Austern, ur. 7 marca 1919 r. w Suwałkach. Później imiona rodziców zmieniono – odpowiednio – na Maurycego i Stanisławę. W 1956 r. Henryk Podlaski zaczął używać imienia Bernard, bo czym ślad po nim zaginął. Przez dłuższy czas szukała go KG MO, bezskutecznie. Mówiło się, że utonął w nurtach Bugu. Miało to być albo akt samobójczy, albo wynik nieudanej ucieczki na Wschód. W 1966 r., po 10 latach starań, żona krwawego prokuratora uzyskała potwierdzenie jego zgonu. Istnieją jednak relacje, że cała sprawa

została sfingowana, a Podlaski... zamieszkał w ZSRS u boku swojej siostry, która wyszła za mąż za wysokiego funkcjonariusza NKWD. 3 maja 1948 r. Najwyższy Sąd Wojskowy utrzymał w mocy wyrok na Pileckiego. Z ramienia Naczelną Prokuratury Wojskowej dopilnował tego mjr Rubin Szwajg. Urodzony 15 listopada 1898 r. w Jarosławiu, podobnie jak Henryk (Hersz) Podlaski, w stalinowskiej prokuraturze był odpowiedzialny za sprawy szczególne. 10 lipca 1948 r. Szwajg napisał do MON prośbę o zwolnienie ze służby wojskowej „z uwagi na to, że zamierzam wraz z żoną wyjechać do Izraela, by tam połączyć się z naszą najbliższą rodziną. Mamy w Izraelu córkę naszą, rodziców i rodzeństwo”.

„Człowiek wielkiego serca i dobroci”

W imieniu NSW wyrok na Pileckiego wydali: płk Kazimierz Drohomirecki, ppłk Roman Kryże i mjr (potem ppłk) Leo (Lew) Hochberg. O tym ostatnim można było przeczytać w Biuletynie Żydowskiego Instytutu Historycznego (kwiecień–czerwiec 1978 r., nr 2 (106)) w rubryce „In memoriam”: „Odszedł od nas wybitny erudyta, mądry doradca, uczynny i oddany współpracownik Żydowskiego Instytutu Historycznego w Polsce, człowiek wielkiego serca i dobroci”. Ani słowa o tym, że był stalinowskim pułkownikiem, a tym bardziej, że brał udział w mordzie sądowym na rotmistrzu Pileckim i w procesach innych żołnierzy AK. Potem jest skrócony życiorys zmarłego: Ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim, w czasie II wojny światowej w ZSRS, członek Związku Patriotów Polskich, sędzia Ludowego Wojska Polskiego, potem Najwyższego Sądu Wojskowego i cywilnego Sądu Najwyższego. Zmarły w latach 90. historyk Jerzy Poksiński w książce „TUN” napisał, że Hochberg „upowszechniał w sądzie >>nowinki prawne<< rodem z ZSRR, w tym przede wszystkim treści prac Andrieja Wyszyńskiego [prokurator generalny ZSRR, twórca teorii, że przyznanie się oskarżonego może stanowić

decydujący dowód winy – TMP]”. Hochberg – dodać warto – był nie tylko teoretykiem, lecz także praktykiem – orzekał w sądach I instancji.

Strzał w tył głowy

Ryszard Mońko (dwa zawody: technik rolniczy i mechanik, do 1962 r. był m.in. naczelnikiem więzienia w Częstochowie) zeznawał jako świadek (tak jak śledczy Krawczyński i Chimczak) na procesie prokuratora Czesława Łapińskiego. Wiedząc, że nic mu nie grozi, zdecydował się mówić:

– Na Mokotów zostałem skierowany w styczniu 1948 r. ze zlikwidowanej jednostki saperskiej. Jako funkcjonariusz ds. polityczno-wychowawczych uczyłem śledczych zasad polskiego ruchu robotniczego [wcześniej sam ukończył odpowiednie kursy polityczne – TMP]. Wielu z nich nie miało nawet ukończonej podstawówki.

– A jak było z egzekucją Pileckiego?

– To był jedyny przypadek w mojej karierze [prokuratorowi IPN Mońko powiedział, że w żadnej

tego typu sprawie nie brał udziału

– TMP]. Zastępowałem Grabickiego,

który takimi sprawami zajmował się

rutynowo, ale akurat, wyjątkowo, wy-

jechał. Wcześniej wypełniałem tylko

gotowe blankiety i podpisywałem

się. Dane uczestniczących w egzek-

ucji sprawdzałem na podsta-

wie okazanych mi legitymacji.

25 maja 1948 r., między godz.

21 i 21.30 do mojego gabinetu

zgłosiło się czterech pa-

nów, dwóch w mundurach

wojskowych, dwóch po cy-

wilnemu. Byli z безпеکی.

Na polecenie prokuratora

rozkażalem doprowadze-

nie Pileckiego na miejsce

straceń. To był mały, od-

dzielnie stojący budy-

nek za X pawilonem,

którym rządziło MBP,

a oficerowie służby

więziennej nie mieli

tam wstępu. Widzia-

łem, jak prowadzili

Pileckiego pod

ręce, a on poprosił

ich, żeby go pu-

ścili, bo chce iść

sam. Weszli do

środką, ja zosta-

łem na zewnątrz. Słysza-

łem jeden strzał. Więźniów poli-

tycznych rozstrzeliwano, pospolitych wie-

szano [były wyjątki, komuniści powiesili np. gen.

Fieldorfa – TMP]. Pluton egzekucyjny to był jeden

funkcjonariusz UB [etatowy morderca starszy

sierzant Piotr Śmietański – TMP]. Lekarz w woj-

skowym mundurze wszedł do budynku i stwier-

dził zgon. Przed wykonaniem wyroku rozmawiał

z Pileckim ksiądz Martusiewicz.

– Gdzie pogrzebano Pileckiego?

– Nie brałem w tym udziału. Od dyżurnych war-

towników słyszałem, że ciała zabitych wywoziła

gdzieś sanitarka więzienna. Często jechał w niej

naczelnik, który miał prawo jazdy.

– Dlaczego podpisał pan protokół wykonania

kary śmierci?

– A co miałem robić?

Zofia Pilecka: „Podczas ostatniego widzenia, gdy już było wiadomo, że zginie, Ojciec powiedział mamie, żeby koniecznie kupiła książkę Tomasza á Kempis >>O naśladowaniu Chrystusa<<. Chciał, żeby mama codziennie czytała nam fragmenty tej cudownej książeczki. – To ci da siłę – powiedział do niej. Bardzo sobie cenię tę książeczkę i przez cały czas ją czytam. Jest to także testament dla mnie”.

Mój Ojciec nazwał swojego dowódcę „świętym polskiego patriotyzmu”. Rotmistrz Witold Pilecki powinien zostać wyniesiony na ołtarze.



ODZIEŻ PATRIOTYCZNA NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI



 W PEŁNI POLSKA PRODUKCJA

SKLEP Warszawa: Jagiellońska 69
SKLEP Kraków: Szewska 25

www.redisbad.pl
tel. 22 290 66 55

RED IS BAD™

WYWIAD | Z ks. Jarosławem Wąsowiczem SDB, salezjaninem i historykiem, rozmawia Jarosław Wróblewski

Walka Żołnierzy Wyklętych to krucjata XXI wieku

To byli często ludzie pobożni. W wielu oddziałach zostały wprowadzone wspólnotowe modlitwy. Byli kapelani, którzy ich spowiadali i odprawiali w lesie msze święte. Żołnierze przyznawali się też do Pana Jezusa w chwili śmierci – mówi ks. Wąsowicz

Gdy patrzymy na Żołnierzy Wyklętych – Niezłomnych, to widzimy, że ich zdeterminowana postawa często wpływała z młodości w II RP?

Tak, to były osoby, których model wychowania obywatelskiego polegał w II Rzeczypospolitej na służbie Polsce. Wtedy prężnie rozwijało się harcerstwo, ruchy strzeleckie, hufce wojskowe czy organizacje o zabarwieniu katolickim. Aktywne były organizacje narodowe. Młodzież wyrastała w nich w głębokim przekonaniu służby ojczyźnie. To zakorzenienie zaowocowało w czasie II wojny światowej, jak i po jej zakończeniu. Jest to ważne, aby i dziś budować taki model wychowania. Walczyli za swoje ideały, w tym również za wiarę.

Na czym polegało ich świadectwo wiary?

To byli często ludzie pobożni. W wielu oddziałach zostały wprowadzone wspólnotowe modlitwy. Byli kapelani, którzy ich spowiadali i odprawiali w lesie msze święte. Żołnierze przyznawali się też do Pana Jezusa w chwili śmierci. Tutaj należy wspomnieć np. listy rotmistrza Pileckiego czy grypsy Łukasza Cieplińskiego. Charakterystyczne było domaganie się sakramentu pojednania i przyjęcia komunii przed śmiercią. Często ich ostatnie słowa brzmiały: „Zostańcie z Bogiem” albo „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”.

To dojrzała chrześcijańska postawa...

...na którą niewielu dziś zwraca uwagę, a ona przewija się bardzo często. Żołnierze Wyklęci po wojnie wiedzieli, że walczą z bezbożnym komunizmem, przecież właśnie tak wówczas w Kościele był on nazywany. Były o ideologii komunistycznej konkretne encykliki, Papież Pius XII nałożył na komunistów ekskomunikę. To był klimat, w którym żył wówczas Kościół, i oni walczyli w przekonaniu, że walka o niepodległą Polskę to jest też walka z bolszewizmem o wiarę. Przecież walka z religią chrześcijańską, z Panem Bogiem, była wpisana w ideologię komunistów. Można powiedzieć, że postawa Żołnierzy Wyklętych była tutaj jak krucjata XX wieku w obronie chrześcijaństwa.

Czy ta zdecydowana postawa z bronią w rękę i ryngrafem na piersi przełożyła się na to, że w Polsce jednak Kościół – mimo silnych represji – ocalał, że komuniści czuli przed



Fot. Krzysztof Słkowski/Gazeta Polska

nim respekt? Czechi, Słowacja, Węgry – tam Kościół o wiele bardziej stracił na znaczeniu. U nas przetrwał silny.

Sowietyzację wprowadzano z bronią w rękę i walczone z nią z bronią w rękę. Jednak nie każdy mógł to zrobić. W krajach Europy Środkowo-Wschodniej podbitych przez komunizm pod koniec lat 40. oficjalnie władza nie atakowała Kościoła. Później nabrała innego kształtu – dokonywano kasaty zako-

nów, zamykano szkoły katolickie, wyrzucano siostry zakonne ze szpitali, eliminowano religię ze szkół, nie pozwalano budować świątyń, mordowano duchownych. Te represje trwały przez cały okres komunizmu. Jednak różnica między innymi narodami a Polską polegała na tym, że większość ludzi była ochrzczona, przyznawała się do katolicyzmu i właśnie tylko w kościołach czuliśmy się wolni. Silną enklawą katolicyzmu była i jest Wileńsz-

czyzna. Kto wie, czy to nie była taka jedyna enklawa katolicka w całym ZSRS.

Wróćmy jeszcze do zachowania Żołnierzy Wyklętych w więzieniach. Witold Pilecki czytał „O naśladowaniu Chrystusa”, Henryk Kończykowski „Halicz” z Batalionu „Zośka” wspominał o wspólnych wieczornych modlitwach w celina Rakowieckiej, o tym, że za wszelką cenę, mimo szykan, obchodzono w celach święta katolickie. To było naturalne...

To było charakterystyczne. W obozach i więzieniach, w tym szczególnym doświadczeniu życiowym, w obliczu śmierci, była gorliwa modlitwa, często umartwienie. Pisano listy, jakby były one testamentem – spowiedzią z całego życia. Gdy człowiek odchodzi z tego świata, to albo jest zrozpaczony, albo pogodzony i wyciszony. Wielu odchodziło godnie, bo godnie żyło. „Starałem się tak żyć, abym w godzinie śmierci mógł się raczej cieszyć, niż lękać” – powiedział przed śmiercią Witold Pilecki. To jest właśnie moment dania świadectwa z całego życia.

Ci wielcy, niezłomni bohaterowie byli w tym wszystkim normalni, naturalni...

Mieli marzenia, mieli słabości, jakie mają ludzie, mieli też plany zbieżne z tymi, jakie mamy dziś. Gdy mieli stanąć do walki za Polskę – stanęli, gdy byli skazani i więzieni – przechodzili rekolekcje swojego całego życia, cierpiąc – odwoływali się do doświadczeń wyniesionych z domu rodzinnego. Mamy świadectwo ks. Mariana Prusaka, jak wiele „Inka” rozumiała, idąc na śmierć przed pluton egzekucyjny, z jakim spokojem ducha. Mimo że nie była pełnoletnia, doskonale wiedziała, co się wokół niej dzieje. Pisała, że nie wystąpiła o prawo łaski, bo nie chciała o nią prosić agenta NKWD i gestapo. Do końca była wierna najwyższym wartościom. Tego młodzi ludzie chcą się uczyć, chcą naśladować. Gdy przeżywaliśmy trudne karty naszej historii, to wiara nas scalała. Ona jest i dziś potrzebna do budowy silnej Polski, bo przecież zagrożenie nadal istnieje. Musimy sami o to zadbać. Widzimy to w obliczu działań islamistów. Historia Żołnierzy Wyklętych pokazuje nam walkę o wiarę. Dziś konsekwentnie nie możemy dać sobie narzucić życia bez wartości.

SYLWETKA \ Z wileńskiego podwórka pod komendę „Łupaszkii”

„Żałowałem, że się za późno

Jacy byli Żołnierze Wyklęci? Jak wyglądała ich przedwojenna młodość w Wilnie? W Warszawie na Woli mieszka żołnierz 3. i 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej dowodzonej przez por. Gracjana Fróga „Szczerbca”. Józef Bandzo urodził się 21 października w 1923 r. w Wilnie

Jarosław Wróblewski

Co kształtowało młodego Józia, który swoje wspomnienia spisał w książce pt. „Tak było”, wydanej przez Fundację Niepodległości? „Z zainteresowaniem słuchałem lekcji historii, szczególnie o powstaniach z 1830 i 1863 roku, w którym część mojej rodziny brała udział i za to zostali wywiezieni na Syberię. Powrócili dopiero po 1920 r. Słuchając, przeżywałem bohaterskie walki Legionów Józefa Piłsudskiego i żałowałem, że nie mogłem w nich brać udziału, że za późno się urodziłem”.

„Nasz nauczyciel, pan Kolator, jak i kierownik szkoły, byli legionistami, porucznikami, brali udział w wojnie z bolszewikami w 1920 r. Takim chłopakowi jak ja bardzo to imponowało. Nie przypuszczałem wówczas, jak potoczy się moje życie. I tak powoli poczucie patriotyzmu przeciekało do naszych serc i umysłów. Chcieliśmy służyć Polsce, chcieliśmy coś jej z siebie dać. Do harcerstwa należałem od dzieciństwa. Zostałem nawet zastępowym »Puchaczy«, i to pomimo mojego sprzeciwu. Zgodziłem się z tą nominacją pod warunkiem, że na obozie będę zwykłym druhem. I tak było” – pisał we wspomnieniach.

Na wiosnę 1939 r. Bandzo wstąpił do klubu piłkarskiego WKS „Śmigły” i po paru treningach został przyjęty jako junior. „W przedmeczach jeszcze nie grałem, miało to nastąpić jesienią. Natomiast poznałem kilku fajnych kolegów, m.in. Grzeska, z którym wyjątkowo szybko się zaprzyjaźniłem. Ojciec jego był kierownikiem strzelnicy wojskowej na zapleczu ul. Kalwaryjskiej. Grzesiek był bardzo dobrym strzelcem i miał złotą odznakę strzelecką. Podobał mi się jego sposób bycia – delikatny i subtelny, ale silny, a do tego jeszcze bardzo urodziwy i z zacięciem sportowym. Studnis (inny kolega z klubu) był talencikiem piłkarskim – szybki, zwinny, trochę narwany, miał dobrą «kiwkę» i świetną lewą nogę, a takich zawsze było brak w każdej drużynie. Spotkałem się z nim później u »Szczerbca« w 3. Brygadzie Wileńskiej AK. Nawet rozmawialiśmy o stworzeniu po wojnie dobrej drużyny, ale niestety poległ pod Mikuliszkami 8 stycznia 1944 r., walcząc tuż obok



Na kwaterze, od lewej: Józef Bandzo „Jastrząb”, NN, NN, Jan Zaleski „Zaja”, Tadeusz Urbanowicz „Moskito”. Podlasie, lipiec 1945 r.

mnie. Ale wtedy, latem 1939 r., myślałem zupełnie o czym innym”.

Okropne to było widowisko

II wojna wywarła piętno na niespełna 16-letnim chłopaku. 1 września 1939 r., w słoneczny dzień, mieszkańcy Wilna zadzierali do góry głowy i patrzyli na nadlatujące niemieckie samoloty. Zaczęło się bombardowanie miasta. Niemcy zaatakowali Polskę. Bandzo wspomina, że obawiano się też Sowietów, którzy 17 września przekroczyli polskie granice bez wypowiedzenia wojny. Niezapomniane wrażenie zrobiło zachowanie najeźdźców ze Wschodu, którzy przybyli do Glinciszek: „Przyjechało na ciężarówkach około stu bojców, w połowie Azjatów ze skośnymi oczami. Tak samo jak poprzednicy, szynele mieli postrzępione, karabiny na sznurkach, czapki cyrkowe z klapkami na uszy i szpikulcami na czubach. Wyskoczyli z ciężarówek, rozbiegli się po majątku i zaczęli z obór wyprowadzać bydło. Krowy na kilkumetrowych sznurach przyczepiali do ciężarówek i dźgając karabinowymi bagnietami uśmiercali. Natomiast dorodne zarodowe byki podprowadzali za kolce w nozdrzach do wielkiego dębu, naginali im łby do ziemi i również dźgali bagnietami, aż te rycząc

i chrapiąc wyzionęły ducha. Okropne to było widowisko. Ryk bydła, zapach juchy unoszący się w powietrzu, palące się ogniska sprawiały niesamowite wrażenie. Szczególnie, że to wszystko działo się tuż pod naszymi oknami, na gazonie wśród jesiennych kwiatów. Tę rzeź, trwającą do późnej nocy, wykonywali bezgłośnie, bez żadnych krzyków, komend, z wielką wprawą i rutyną. Do ludzi nie odzywali się wcale, na pewno mieli taki rozkaz. Rączy wypatroszyli zabite bydło, część mięsa i skóry zostawili na gazonie, wsiadli do swoich ZIS-ów¹² i odjechali”.

Chłopcy z wileńskiego podwórka

Niepewność, wiadomości o aresztowaniach, wywózkach całych rodzin do Rosji, strach i bezsilność, i NKWD tropiące wrogów. Gdy sowiecki terror narastał, „wkroczenie 24 czerwca 1941 r. wojsk niemieckich miasto powitało z uczuciem ulgi. Odejście bolszewików oznaczało przede wszystkim koniec koszmaru okupacji radzieckiej. Nowego okupanta jeszcze nie znano, nie przypuszczano jednak, aby był zdolny dorównać w akcjach represyjnych bolszewikom. Z czasem okazało się, że jedni od drugich nie byli lepsi. Jednak ten czas przemian był niezmiernie ważny, pozwolił lud-

ności całej Wileńszczyzny złapać oddech” – wspomina.

Józef Bandzo mówi, że w Wilnie zadziornych chłopaków nie brakowało. „Zresztą i ja taki byłem. Dostyc często się biłem, ale bijatyka była honorowa. Bili się jeden na jednego. Np. szła grupa pięcioosobowa i przechodząc, trąciłem się z którymś z grupy. Pytam: – Co ty idziesz taki sztywny? – A co, nie podoba ci się? – No, nie podoba mi się. – To chodź do bramy. Szliśmy do bramy i w zacisznym miejscu biliśmy się, a reszta się przyglądała. Jeśli ktoś z nas miał już dosyć, bo dostał w oko, czy krew mu się z nosa połała, to przerywał walkę i mówił: – Dobra jest, wygrałeś. Podawaliśmy sobie ręce i rozchodzili się w zgodzie. Od tego momentu byliśmy już kumplami. Byli to chłopcy z podwórka wileńskiego, przesiąknięci patriotyzmem, honorem i lojalnością wobec siebie. Nie sprzedawali się za kilka srebrników. W czasie okupacji zdali patriotyczny egzamin, bo prawie każdy z nich walczył w partyzancie z okupantem, a po wojnie z PRL-em, bo chcieli mieć wolną i niepodległą Polskę”.

Do Armii Krajowej

We wrześniu 1943 r. do Józefa Bandzo przyszli dwaj koledzy „i zapytali mnie, czy chciałbym należeć do organizacji podziemnej AK. Tak zaczęła się konspiracja. Młodych żołnierzy szkolili

urodziłem”



W lutym 1947 r. Józef Bandzo ujawnił się. W 1962 r. po dwuletnim śledztwie został skazany na dożywocie, choć sędzia komentując wyrok, stwierdził, że „Jastrząb” zasłużył na karę śmierci. Powód? „Działania w przeszłości w bandach reakcyjnego podziemia”.

Fot. arch.

kpt. o nazwisku Gugąła, który uczył topografii, poruszania się w marszu ubezpieczonym i różnych innych rzeczy, które trochę znałem z harcerstwa”. Bandzo do swojej trójki wzięł kolegę Karolka, z którym się bił, „i jego brata stryjecznego Janka Szymiańca, też dobrego zakapiora. Dawne zatargi poszły w ką. Przed nami był nowy cel – konspiracja i przygotowanie się do walki. Zaczęła mi się śnić partyzantka, tylko nie miałem pojęcia, gdzie się udać. Ciągnęło mnie do lasu. Mówili, że w lasach suzańskich widzieli pojedynczych partyzantów sowieckich. Jeśli mogą Sowieci z bronią chodzić, to my tym bardziej, przecież jesteśmy na swojej polskiej ziemi. Przymierzałem się nawet iść w Góry Świętokrzyskie (dochodziły słuchy, że tam już działa polska partyzantka), ale był to szmat drogi. Nie wiedziałem, że działa nad Naroczą oddział »Kmicica«. Gdybym wiedział, to już bym tam był, a tak musiałem czekać, aż coś się wydarzy” – pisał. Warto dodać, że por. Antoni Burzyński „Kmicic” był dowódcą pierwszego oddziału partyzanckiego AK na Wileńszczyźnie i został razem z częścią kadry oddziału zamordowany przez partyzantów sowieckich.

W partyzantce

Bandzo powiedział mamie, że idzie do partyzanckiego oddziału. Spako-

wała mu do plecaka zapasową bieliznę i poszedł. Trafił do 24-osobowego oddziału kpt. Gracjana Fróga „Szczerbca”, przybierając pseudonim Jastrząb, bo w harcerstwie należał do zastępu „Puchaczy”. Przydzielono go do drużyny Romualda Rajsa „Burego”. Walczył z Litwinami i Niemcami.

Został ciężko ranny w bitwie pod Murowaną Oszmianką. Jak wspomina: „Z domów na skrajach wsi usunięto mieszkańców i zakwaterowano wojsko. Uzbrojenie mieliśmy dobre, na każdy pluton w kompanii szturmowej przypadał jeden elkaem MG-42 i dwa erkaemy czeskiej Zbrojówki, około 15 automatów, reszta to karabiny mauzery. Komendant starał się, aby uzbrojenie w poszczególnych kompaniach było jednolite, tzn. niemieckie lub sowieckie, ze względu na amunicję. Siłę ognia mieliśmy dwukrotnie większą od przeciwnika. Osobowo siły polskie i litewskie były wyrównane. Razem wynosiły ok. 1500 żołnierzy, czyli po ok. 750 żołnierzy z każdej strony, tylko że my byliśmy stroną atakującą. Było bardzo ciemno, szło się przeważnie po omacku, potykając się o krzaki i wertepy. Nie udało się całkowicie zaskoczyć przeciwnika. Gdy byliśmy ze sto metrów od zabudowań, posypały się strzały. Odpowiedzieliśmy zmasowanym ogniem z broni maszynowej i karabinów. (...) Pociski zapalające jak robaczki świętojańskie

krzyżowały się ze sobą, wyglądało to pięknie, a zarazem groźnie. Czuło było w powietrzu zapach wiosny i prochu. Minął już ten pierwszy moment – strachu i niepewności, jaki towarzyszy żołnierzom przed każdą bitwą. Szliśmy naprzód na okopy litewskie, ale mieliśmy pecha. Gdy byliśmy jakieś 50 m od nieprzyjaciela, nagle zapaliła się stodoła i oświetliła nas jak pochodnia. Litwini znajdujący się w okopach mieli łatwy cel. Do tego jeszcze trafiliśmy na podmokły teren, woda sięgała powyżej kostek. Nie można było wcześniej paść i strzelać z pozycji leżącej. Trzeba było iść naprzód. Część Litwinów znajdujących się najbliżej płonącej stodoły z powodu żaru ognia uciekła z okopów, przeniosła się na nasze prawe skrzydło i zaczęła prażyć do nas z flanki. Był to moment, krótka chwila, ale widziałem, jakie wyrządzili nam szkody. Pierwszy padł erkaemista »Chmura«, następnie »Maj«, a ja dostałem w lewe ramię. Kula przebiła dwa nerwy i lekko drasnęła tętnicę. Ból był straszny. »Brzoza«, usłyszawszy moje jęknięcie, kazał mi się wycofać. Przebiegłem kilkanaście kroków, przeskoczyłem płotek i padłem. Leżąc i wijąc się z bólu, usłyszałem, jak pluton »Kima« uderzył ponownie i przerwał umocnienia. Za chwilę zjawił się »Milimetr«. Nie wiem, skąd wyciągnął siennik i położył mnie na nim, a sam pobiegł walczyć dalej. Z upływem czasu walka stawała się coraz mniej gwałtowna, tylko od czasu do czasu dawało się słyszeć serie z broni maszynowej lub pojedyncze strzały karabinowe. Świtało i walka się kończyła. Chłopaکی wyciągali z domów i różnych zakamarków kryjących się Litwinów. Pomagała im miejscowa ludność. Bitwa była skończona, miasteczko było opanowane. Rozpoczęło się poszukiwanie zabitych i rannych. Przybiegł do mnie »Milimetr« z jakimś drugim partyzantem opierającym się na ich ramionach dotarłem do punktu opatrunkowego. Sporo tam było rannych i gdy doktor »Lancet« opatrywał mnie, podjechały podwozy. Komendant, który akurat tam był, bo też został trafiony w rękę, powiedział: – »Jastrzębia« dać do Brzozowskich”. Okazało się, że ręka ma uszkodzone nerwy.

Krzyż Walecznych i służba u „Łupaszkę”

Józef Bandzo szczególnie ceni sobie odznaczenie dane mu przez „Szczerbca” 20 maja 1944 r., kiedy na kwaterę do Brzozowskich przyjechał „Szczerbiec” z „Burem”. „Wezwał mnie do swojego pokoju. Obaj stanęli po jednej stronie dużego stołu krawieckiego, a ja po drugiej. Co to będzie – myślę sobie – przecież nic nie przeskrobałem, aby mnie tak oficjalnie traktować. Stanęli na baczność, a komendant oznajmił mi, że jestem przedstawiony do odznaczenia Krzyżem Walecznych. Wypowiedziałem sakramentalne: ku chwale Ojczyzny, a gdy siedliście, powiedziałem: – Panie komendancie, ale ja pod Murowaną Oszmianką dużo się nie nawojowałem. – Dostałeś ten Krzyż za całokształt służby – powiedział”.

Bandzo po rozwiązaniu 5. Wileńskiej Brygady AK, gdy „Bury” ze swoim szwadronem włączył się w działalność Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, opuścił jego szeregi i skontaktował się z mjr. Zygmunt Szen-

dzielarzem „Łupaszką”, z którym spotkał się pod Malborkiem. „W rozmowie ze mną oznajmił, że rzeczywiście w kwietniu wychodzi w teren i na tę działalność są potrzebne pieniądze, aby można było opłacać swoje wyżywienie. Mówił: – Wychodzimy w nowy teren i nie możemy rekwirowaniem żywności zrazić do siebie miejscowej ludności, bo są za biedni, aby nas żywić. Dlatego potrzebne są nam pieniądze i trzeba je zdobyć”. Jak wyglądało zdobywanie pieniędzy? „W 1946 r. »Pędzelkiem« i »Moskitą« pojechaliśmy samochodem dostarczonym przez »Orszaka« pod pocztę. »Moskito« został na ubezpieczeniu, a ja z »Pędzelkiem« weszliśmy na pocztę. Po sterroryzowaniu pracowników zabraliśmy z kasy ok. 80 tys. zł i odjechaliśmy. 21 marca 1946 r. zrobiliśmy skok na PMS (Państwowy Monopol Spirytusowy) w Sopotcie. 6 kwietnia 1946 r. za pośrednictwem »Maksa« dostałem plan skoku na Urząd Skarbowy w Gdańsku-Wrzeszczu, mieszczący się przy ul. Grunwaldzkiej. Plan zawierał dokładny szkic budynku urzędu, który umożliwiał nam pewniejsze poruszanie się w nim. 8 kwietnia z »Moskitą« i »Pędzelkiem« udaliśmy się do Wrzeszcza. Po krótkiej obserwacji urzędu zdecydowaliśmy się na skok. »Moskito« został na zewnątrz, stanął przy drzwiach głównych, natomiast ja z »Pędzelkiem« weszliśmy do korytarza tylnym wejściem, przeznaczonym dla pracowników urzędu. W korytarzu, zaraz na lewo, mieściła się kasa. Niezauważeni przez nikogo, weszliśmy do niej. Po prawej stronie było matowe okno oddzielające interesantów od kasy. Kasjer siedział tyłem do drzwi i nawet nas nie zauważył. Podszedłem do okienka i opuściłem je. Dopiero wtedy kasjer zauważył naszą obecność i ze zdziwieniem spojrzął na nas. Powiedziałem mu: – Panie, jesteście z 5. Brygady Wileńskiej AK, zabieramy z kasy pieniądze, niech pan policzy, ile ich jest. – Ależ proszę panów, jak ja się z tego wytłumaczę. Tyle ludzi jest przy okienku, a nikt tego nie widział? Co się tu dzieje? – Niech pan się nie obawia, ja panu na te pieniądze wystawię pokwitowanie. W Urzędzie Bezpieczeństwa są znane. Kasjer, w wieku około 50 lat, był bardzo wystraszony. Wystawiłem pokwitowanie na zabraną sumę i na odchodne powiedziałem mu, że za pół godziny może zameldować w Urzędzie Bezpieczeństwa o zaistniałej sytuacji. Gdy już byliśmy po przeciwnej stronie ulicy, usłyszeliśmy krzyk kasjera: – Bandyci! Bandyci! Łapać!!!”. »Pędzelek«, który został ranny, a nie chciał się poddać – zastrzelił się.

Bandzo walczył u boku „Łupaszkę” z milicją i funkcjonariuszami UB. Został dowódcą patrolu dywersyjnego. W maju 1946 r. znalazł się w jego osobnym pocście. Dostał awans na porucznika.

Epilog

W lutym 1947 r. Józef Bandzo ujawnił się. W 1962 r. po dwuletnim śledztwie został skazany na dożywocie, choć sędzia komentując wyrok, stwierdził, że „Jastrząb” zasłużył na karę śmierci. Powód? „Działania w przeszłości w bandach reakcyjnego podziemia”. Był osadzany w więzieniach w Sztumie, Katowicach, Lublinie i Barczewie. Wyszedł na wolność w 1976 r. Dopiero w 2011 r. otrzymał unieważnienie wyroku. „Szczerbiec”, „Bury” i „Łupaszkę” zostali zabici przez komunistów.

SPOŁECZEŃSTWO \ Jak kibice odkryli legendę Żołnierzy Wyklętych

Banici, wilki, kibole

Awantura, przygoda, wolność, przyjaźń, ryzyko – to kochaliśmy my, kibole, w chuligańskich latach 90. Każde z tych słów było zaprzeczeniem obrzydliwego „nie wychylać się”, zasady obowiązującej w III RP. Swojego świata, tożsamości, szukaliśmy jako małolaci tam, gdzie się „wychylano” – w chuligaństwie, muzyce, subkulturach, niektórzy także w przestępczości. Dopiero po latach mieliśmy odkryć, że niegdyś żyli w naszym kraju twardziele, przy których nasze wybryki to niewinna zabawa

Piotr Lisiewicz

„W ustroju totalitarnym niemożliwa jest rzeczywistość zdominowana przez przygody, czyli zdarzenia zaskakujące, niezdeteminowane, manifestujące wolność człowieka” – pisał w artykule o Sergiuszu Piaseckim prof. Krzysztof Dybciak. Moje pokolenie kiboli, dzisiejszych czterdziestoparolatków, zdążyło załapać się na ostatnie antykomunistyczne zadymy. Potem był 1989 r. i witryny sklepowe zaczęły być kolorowe, ale świat wartości proponowanych przez media pozostał szary, nudny i ograniczony do ugania się za kasą.

To, rzecz jasna, przeszkadzało tylko mniejszości Polaków, i to podzielonej na grupki niemające ze sobą kontaktu – jak niedobitki przedwojennej inteligencji biedującej za komuny i my – „chuligani” ze stadionów.

Brygada Banici

Na początku lat 90. dwie grupy kibiców mojego klubu, Lecha Poznań, stworzyły bojówki bijące się z kibicami z innych miast. Przyjęły one nazwy „Boys to fight” (dziś to już nazwa zapomniana) i „Brygada Banici”.

Nazwy te mówią sporo o naszych poszukiwaniach. Nastoi i dwudziestoparolatki wzorowali się na angielskich stadionowych chuliganach czy amerykańskich raperach. Albo nawiązywali do westernowych opowieści o wyklętych banitach żyjących poza prawem.

W niektórych miastach w okolicach 1989 r. wśród kibiców wpływy uzyskiwały różne grupy subkultur. Wiadomo było, że jak przyjedzie do Poznania Śląsk Wrocław czy Lechia Gdańsk, to będzie widać na sektorze kurtki flyersy, przy okazji zadymy odwracane przez skórny na pomarańczową stronę. Ale wśród kibiców Pogoni Szczecin wielu było długowłosych „metali”.

Zmiany w Polsce wiele razy w historii skłaniały młodzież do postaw awanturniczych. Gdy zaczynała się II RP, po wojnie polsko-bolszewickiej, jej nastoi i dwudziestoparolatki „weterani” zwykli przychodzić do szkoły z pistoletem, a w czasie nocnych pijatyk w internatach wygłaszać maksymę, że kto bił bolszewika, ma teraz prawo bić butelki.

Dla II RP troska o przyszłość owych łobuzów stała się bardzo ważna. W gimnazjum tolerowała ich wybryki, ale potem kierowała ich do



Fot. Gabriela Ormowska

szkół oficerskich, gdzie obowiązywała dyscyplina, uczono dobrych manier, szacunku dla kobiet itp. I w efekcie Polska miała kawalerzystów, których zazdrościła nam Europa.

Co zaproponowała młodym, zadziornym chłopakom III RP? Pracę w esbeckich firmach ochroniarskich i przestępczość. W latach 90. Polska była krajem bezprawia, panoszenia się esbeckiej mafii, walk gangów itp. Jeśli byłeś zwykłym chłopakiem bez komunistycznych powiązań rodzinnych, mafia bywała dla ciebie jedyną niezablokowaną ścieżką awansu. W twardą przestępczość poszła niewielka część kibiców, ale kolejni dostawali robotę legalną, ale powiązaną z tamtymi.

Etos przestępczości bliskiej kibicom znalazł odzwierciedlenie w hip-hopie. Opisywał on prawdziwie „dziki Zachód” III RP. Przestępcy z moich roczników mówili: skoro cała zmiana okazała się gównem warta, bo nam nie dano żadnych szans, to w społeczeństwie okradanych przez władzę pokojowych piesków my chcemy być wilkami. Nie jesteśmy frajerami, załapałiśmy, jakie są zasady w tym państwie i dostosowaliśmy się.

Warchoły z Radomiaka

To są historie sprzed ponad dwóch dziesięcioleci. Nikt się ich nie wsty-

dzi. Ale ludzie dojrzewają. Dawni nastolatki kochający swój klub, w naturalny sposób z czasem zaczęli interesować się historią swojego miasta, potem ojczyzny. A to, czym interesują się ludzie, dla których prymitywna konsumpcja nie jest wszystkim, w określonych momentach wpływa na losy narodów.

Poznanie polskiej historii pokazało kibicom, że byli na świecie twardsi goście od amerykańskich raperów, i byli to dziadkowie wielu z nich. A skoro tak, to trzeba przekazać tę wiedzę małolatom za pomocą hip-hopu czy patriotycznych opraw. Kibice Legii zaczęli organizować uroczystości z okazji rocznic Powstania Warszawskiego, kibice Lecha odwiedzać groby tysięcy powstańców wielkopolskich, kibice Radomiaka chodzić w koszulkach z napisem „Warchoły” itp.

„Przeegrali dom swój w białym borze”

Jednak to historia Żołnierzy Wyklętych stała się – w skali ogólnopolskiej – najważniejszą legendą, która połączyła kibiców ponad podziałami. Bo także dla tych nieupolitycznionych, ale lubiących „awanturnę, przygodę, wolność, przyjaźń, ryzyko”, okazała się czymś strasznie mocnym. Odkryli oni, że Polska mia-

ła w historii swoich „banitów” oraz swoje „wilki” i były one ucieleśnieniem wszystkiego, co w polskości najbardziej szlachetne. Że byli twardzi i zdolni do poświęceń w imię przegranej sprawy. Żadna opowieść o zagranicznym bohaterze nie mogła trafić bardziej do kibicowskiej mentalności niż słowa Zbigniewa Herberta: „przeegrali dom swój w białym borze / kędy zawiewa syński śnieg / nie nam żałować – gryziopiórkom – / i gładzić ich zmierzwioną sierść / ponieważ żyli prawem wilka / historia o nich głucho milczy”.

Kibice nie tylko sami zaczęli identyfikować się z historią Wyklętych, lecz także odegrali najważniejszą rolę w jej spopularyzowaniu w młodym pokoleniu. Historia III RP pokazuje, że zmiany w świadomości obywateli, wbrew propagandzie mediów, można przeprowadzić skutecznie tylko w jednej sytuacji. Gdy sygnał idący z góry – dał taki śp. prezydent Lech Kaczyński, ustanawiając święto 1 marca – spotka się z sygnałem idącym z dołu, od jakiejś znaczącej grupy kontestującej rzeczywistość. Tylko wtedy propaganda „GW” i TVN przegrywa.

„Kibole”, synowie „roboli” z 1980 r., wystali go z miast, dzielnic i osiedli bardzo czytelnie. Sami znaleźli wzorce, które ponad ćwierć wieku temu powinna im dać III RP.

PAMIĘĆ \ Ludzie PO skazani na kolejną porażkę

Platforma Obywatelska wojuje z Wyklętymi



Fot. Filip Białejowski/Gazeta Polska

Decyzja warszawskiego ratusza o tym swoistym „zakazie wstępu” dla Żołnierzy Wyklętych na Krakowskie Przedmieście to dalszy etap symbolicznej wojny. Tak jak w przypadku krzyża i zniczy przed prezydenckim pałacem i innych haniebnych poczynaniach. Ale Hanna Gronkiewicz-Waltz i kierowany przez nią ratusz znani są z kontrowersyjnych decyzji. Przypomnijmy słynną „tęczę” z placu Zbawiciela, przedmiot ciągłego sporu ideologicznego, czy nieszczęsną palmę z ronda De Gaulle’a, o której prof. Andrzej Waśko pisar: „Palmy nie rosną pod polskim niebem, egzotyka sztucznej palmy sprzed budynku giełdy wyraża więc chęć ucieczki od tego klimatu, od tej ziemi, od tego losu. (...) Przebija przez nią właściwa ostatnim latom afirmacja kiczu. (...) Palma sprzed budynku giełdy nikomu nic nie narzuca, nikogo też o niczym nie poucza, informując nas tylko o sposobie myślenia tych, którzy ją tam postawili. Ale właśnie w tej roli może być uznana za symbol całej oficjalnej kultury III Rzeczypospolitej. Po pierwsze, jest kiczowata, po drugie, jest imitacją czegoś obcego, po trzecie, jest niezakorzeniona, a po czwarte, jest martwa”.

Tuż przed oddaniem do druku niniejszego dodatku pojawiła się informacja, że warszawski ratusz nie wyraził zgody, by na Krakowskim Przedmieściu zawisło kilkadziesiąt proporców z wizerunkami Żołnierzy Wyklętych

Wojciech Mucha

Dziewięćdziesiąt proporców w kształcie husarskich skrzydeł z wizerunkami rotmistrza Pileckiego, „Roja”, „Łupaszki”, „Lalka”, „Zapory” i 85 innych Żołnierzy Wyklętych miało towarzyszyć przechodniom, spacerowiczom, warszawiakom i turystom. Projekt scenografki Małgorzaty Grabowskiej powstał przy udziale Instytutu Pamięci Narodowej i wolontariuszy. Okazało się jednak, że podobnie jak dla innych inicjatyw niezwiązanych z zarządzaniem przez Hannę Gronkiewicz-Waltz ratuszem, tak i dla Wyklętych nie ma miejsca przy Krakowskim Przedmieściu. Jak podał w serwisie wpolityce.pl Maciej Pawlicki – decyzja miała zapaść „na najwyższym szczeblu”. Ostatecznie chorągwie podczas marszu 1 marca mieli nieść harcerze.

KOD – tak, Wyklęci – nie

Tymi samymi ścieżkami co decyzje prezydent Warszawy, chadzają myśli prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka. Znany ze wspierania m.in. marszów KOD i parad

równości, wycofał on swój udział w obchodach 1 marca. W uroczystościach rocznicowych Powstania Warszawskiego także podobno brać udziału nie zamierza. Odmowę wsparcia Wyklętych tłumaczy „wyjątkową sytuacją” i „innymi wydarzeniami”. Ale Hanna Gronkiewicz-Waltz i prezydent Jaśkowiak nie są tu odosobnieni.

I tak burmistrz Mińska Mazowieckiego Marcin Jakubowski (PO) zakazał na stronie Urzędu Miasta i w gablotach wieszanie plakatu o Wyklętych. Ostatecznie go powiesił, jednak usunął logotypy patronów, bo – jak stwierdził – „piszą o nim i o mieście nieprawdę”. Ten sam burmistrz w internecie chwali się zdjęciami, na których występuje z kartką, na której napisane jest: „Jestem TW Bolek”, co w zamysłu jego i jego podobnych oznacza specyficzną solidarność z Lechem Wałęsą, mierzącym się w ostatnich dniach z dokumentami udowadniającymi jego agenturalną przeszłość. „Kiedyś w PRL pisano kwity na naszych bohaterów, innych wymazywano z kart historii. Dziś w IV RP tworzy się własną historię, wymazując z niej naszych bohaterów” – napisał obok zdjęcia burmistrz Mińska. Jak pogodzić to z cenzorowaniem plakatu o Wyklętych? Nie wiadomo.

Spółeczna odpowiedzialność biznesu i kontrwywiadu

Ale są i inne „potyczki”. Tak jest w przypadku PKO Banku Polskiego, który na budynku słynnej Rotundy w centrum Warszawy wywiesił wielki baner upamiętniający Wyklętych. Bank włączył się także w organizację koncertu „Niezlomnym Honor”. Tym razem sprawa nie spodobała się Konradowi Niklewiczowi, za czasów rządu PO-PSL sekretarzowi stanu w Kancelarii Premiera. W serwisie Twitter „zaapelował” on do akcjonariuszy PKO, by „zwrócili uwagę, na co bank wydaje pieniądze”. Internauci nie zostawili na nim suchej nitki, przypominając przy tym, że „społeczna odpowiedzialność biznesu” (ang: CSR) to podstawa działalności każdej szanującej się firmy i elementarz marketingu.

Swoją siedzibę ozdobiła również Służba Kontrwywiadu Wojskowego, gdzie oprócz logo SKW wyświetlane są portrety żołnierzy podziemia antykomunistycznego. Zapewne tego samego można spodziewać się po Pałacu Prezydenckim. Jak widać – można.

Bądźmy ponad nimi

Szczęśliwie okazuje się, że „my nie chcemy uciekać stąd”, od ziemi i losu. Co bowiem z „przeciętnymi Polakami”, którzy chcą po swojemu zadbać o pamięć po Żołnierzach Wyklętych? Niech za odpowiedź posłużą harmonogram obchodów, które zorganizowały kluby „Gazety Polskiej”. Dziesiątki wykładów, prelekcji, pokazów filmów, msze święte. Do tego doliczmy inne inicjatywy – marsze, które przeszły przez polskie miasta, godząc ze sobą zwaśnionych, jak np. w Krakowie – kibiców Cracovii i Wisły. Doliczmy rajd „Tropem Wilczym”, organizowany przez Fundację „Wolność i Demokracja”, rajd im. „Zapory”, wsparcie finansowe i humanitarne dla Żołnierzy. Wreszcie muzykę.

Tu obok znanego już Tadka i innych raperów, obok zespołów takich jak De Press czy Pawła Piekarczyka z Leszkiem Żebrowskim i Jerzym Zelnikiem, inspiracji w Wyklętych szukają kolejni twórcy: „Jako naród przez wiele lat ucisniony, powinniśmy mieć w pamięci, że ktoś walczył o naszą wolność. Postanowiłem napisać ten utwór, by oddać hołd Żołnierzom Wyklętym, którzy walczyli za moją wolność, ale przede wszystkim oddają hołd moim dziadkom, którzy również walczyli” – mówi o swoim utworze „Ballada o Roju” znany raper O.S.T.R. Wszystko obok, a jednak ponad małymi „decyzjami”, o których za chwilę już nikt nie będzie pamiętał. Tak jak o wydających je urzędnikach.



Członkowie Stowarzyszenia Historycznego im. 11. Grupy Operacyjnej

Fot. Marcin Pegaz / Gazeta Polska

SPOŁECZEŃSTWO \ Fenomen, którego „Wyborcza” nie zrozumie

Dzień z życia patrioty

Grupy historyczne i rekonstrukcyjne robią bardzo wiele dla uczczenia pamięci polskich bohaterów. Żadne uroczystości rocznicowe nie odbywają się bez ludzi ubierających się w stroje z epoki i podtrzymujących pamięć o przeszłości. Widzimy ich pod Grunwaldem. Widzimy w rocznice powstań, bitew. Możemy zobaczyć ich również 1 marca w Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych

Jacek Liziniewicz

Centrum Płocka. Plac im. Obrońców Warszawy, przy którym w czasach komunizmu znajdowały się owiana złą sławą siedziba Urzędu Bezpieczeństwa i budynek Rady Narodowej. Jeszcze 27 lat temu krajobraz zdominowany był przez pomnik Wdzięczności Armii Radzieckiej z obowiązkową pięcioramienną gwiazdą. Po monumencie już na szczęście nie ma śladu. Jest zimowe, sobotnie przedpołudnie. Temperatura w okolicach zera i wiejący wiatr raczej nie zachęcają do spędzania czasu na świeżym powietrzu. Mimo to pod pomnikiem Władysława Broniewskiego zbiera się około 30 osób. To głównie członkowie Stowarzyszenia Historycznego im. 11. Grupy Operacyjnej, która ze wsparciem Stowarzyszenia Historycznego Pułk 37. z Kutna przygotowuje rekonstrukcję historyczną pokazującą odbicie więźniów Urzędu Bezpieczeństwa.

Postrach ubecji

11. Grupa Operacyjna Narodowych Sił Zbrojnych działała na północnym Mazowszu w powiatach włocławskim, lipnowskim, mławskim, sierpeckim, płońskim, a także w części ciechanowskiego i działdowskiego. Powstała w lecie 1946 r., składała się z żołnierzy NSZ i Armii Krajowej. Na jej czele stanął ppor. Stefan Bronarski „Liść”, który dowodził nawet 130-osobowym oddziałem. Grupa działała kilka lat. Na północnym Mazowszu ostatnich żołnierzy podziemia antykomunistycznego aresztowano dopiero w 1954 r. Ich aktywna działalność dała się we znaki komunistycznym oprawcom. „Struktury bojowe 11. Grupy Operacyjnej NSZ stoczyły 14 walk i potyczek z grupami operacyjnymi, w czasie których zginęło 29 funkcjonariuszy UBP, MO, ORMO i czterech żołnierzy KBW. Rozbiły sześć posterunków MO i gminnych placówek UBP oraz przeprowadziły cztery akcje rozbrojeniowe i 11 egzekucyjnych, w czasie których

zabito 16 osób podejrzanych o współpracę z resortem bezpieczeństwa” – czytamy w książce „Ostatni leśni 1948–1953” pod red. Tomasza Łabuszewskiego z IPN.

Grupa miała również własny wywiad infiltrujący struktury UB. O skali jego działalności niech świadczy fakt, że za współpracę i pomoc partyzantom UB aresztowało blisko 2 tys. osób, a ponad 380 z nich usłyszało wyroki od roku do 15 lat więzienia. Wysoką cenę zapłacili również członkowie 11. Grupy Operacyjnej NSZ – 103 osoby aresztowano. Wobec 24 osób wojskowe sądy rejonowe orzekły karę śmierci, którą wykonano w 19 przypadkach. Do historii przeszedł proces Wiktora Stryjewskiego „Cacko”, który 3 lipca 1950 r. został skazany na trzydziestoosmiokrotną (!) karę śmierci z „pozbawieniem publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze oraz z przepadkiem całego mienia”. 18 stycznia 1951 r. w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej Stryjewski zginął od strzału w tył głowy. Wraz z nim

stracono również Stefana Bronarskiego „Liścia”, Jana Przybyłowskiego „Onufrego” i Stefana Majewskiego „Szczepana”. Wszyscy spoczywają najprawdopodobniej na warszawskiej „Łączce” na wojskowych Powązkach.

Przywracanie pamięci

– Jeszcze kilka lat temu mało kto w Płocku słyszał o Stefanie Bronarskim. Może w losowej próbie tysiąca osób znalazłby pan jedną. Dzisiaj jest zupełnie inaczej. Świadomość rośnie – mówi nam Paweł Felczak, prezes Stowarzyszenia im. 11. Grupy Operacyjnej NSZ. Członkowie stowarzyszenia działają na wielu frontach, starają się trafić do jak najszerszego grona odbiorców, przywrócić pamięć. To z ich inicjatywy powstało w Płocku rondo im. Stefana Bronarskiego. To oni dążyli do umieszczenia tablic pamiątkowych m.in. na kościele św. Stanisława Kostki w Płocku, dawnym budynku tamtejszego Urzędu Bezpieczeństwa czy pomnika w Dobrzyniu

nad Wisłą. Szczególnie ten ostatni przypadek był trudny, bo wrogie wobec inicjatywy były lokalne władze, które insynuowały, że członkowie 11. Grupy Operacyjnej są niegodni upamiętniania. Istniała realna obawa, że pomnik zostanie zniszczony, a część osób zaangażowanych w jego powstanie dostawała nawet pogroźki. – Dziś widać, że było warto. Sytuacja pokazała, jak konieczne jest odkłamywanie historii – podkreśla Andrzej Przemyski, wiceprezes stowarzyszenia.

Inicjatyw podejmowanych przez stowarzyszenie jest więcej. – Trudno opowiedzieć o tym w kilku zdaniach. Spotykamy się z uczniami w szkołach, organizujemy rajdy, koncerty i pokazy filmów. Współorganizujemy również płocki Marsz Żołnierzy Wyklętych. Jest tego bardzo dużo. Niedługo zacznie brakować wolnego czasu – mówi Andrzej Przemyski. Grupa brała ostatnio udział w filmie „Kochankowie z lasu” Arkadiusza Gołębiewskiego, który został wyemitowany 1 marca w TVP2. Wcześniej wystąpili również w teledysku płockiego hip-hopowca „Myczkinsa”.

Wy kto? Wojsko polskie

Czas z 11. Grupą Operacyjną mija bardzo szybko. Każdy z nich mógłby godzinami opowiadać o żołnierzach Stefana Bronarskiego. – Musimy wiedzieć i znać historię, żeby każdemu, kto nas zaczepi, udzielić odpowiedzi – tłumaczą przedstawiciele grupy. Do stowarzyszenia należą ludzie z różnych środowisk i w różnym wieku. Najstarszy przedstawiciel – Tadeusz Taworski – to legenda płockiej „Solidarności”. Rocznik 1931. To on zdjął gwiazdę z pomnika Wdzięczności Armii Radzieckiej. Na drugim biegunie – kilkunastoletni uczeń liceum. Honorowymi członkami stowarzyszenia są rodziny żołnierzy 11. Grupy Operacyjnej NSZ.

Zaczyna się próba rekonstrukcji. Na razie na sucho. Bez mundurów, granatów, replik broni, wystrzałów. Wszystko trzeba sobie wyobrazić. – Teraz podjeżdża Willys – nadaje przez megafon Andrzej Przemyski. Wszyscy mrużą oczy i chyba tylko ja po powrocie do domu będę sprawdzał w internecie, co to oznacza. Dowiem się, że chodzi o znanego z filmów o II wojnie światowej Jeppa Willisa. Po chwili wymieniają broń, jaką będą mieli na stanie. Padają różne nazwy modeli. Przechodzą mnie ciarki, gdy członkowie grupy zastanawiają się, czy bardziej prawdopodobne byłoby sponiewieranie milicjanta, czy zastrzelenie go za kolaborację? Czy Sowieci miałby opory przed strzeleniem dziecku w plecy, czy nie? Członkowie stowarzyszenia zastanawiają się, jak maksymalnie uprawdopodobnić sceny. – A wy kto? – pyta w kulminacyjnej scenie rekonstrukcji jeden z Sowieców. – Wojsko Polskie – otrzymuje odpowiedź równoległą z otrzymaniem kuli w głowę. Po chwili rekonstruktorzy strzelają do siebie. Robią ogniowe zastrzały. Wszystko jak na filmie. – Redaktor Piotr Stasiński z „Gazety Wyborczej” straszył wami w hiszpańskich gazetach – mówię po próbie, przypominając sobie jeden z absurdów ostatnich miesięcy, kiedy „GW” przestrzegała przed grupami rekonstrukcyjnymi. Na twarzach przedstawicieli Stowarzyszenia 11. G.O. pojawia się uśmiech. Wieloznaczny. A może mi się tylko wydaje...



Grupa rekonstrukcyjna zmierza na akcję odbicia więźniów z posterunku UB

Fot. Marcin Pegaz/Gazeta Polska



Jak zakończy się to starcie?

Fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

NASZ PATRONAT \ Bieganie ku czci Wyklętych

„Wilczy Trop” od Kresów po USA

W ponad 170 miejscach w Polsce, a także poza granicami kraju, odbyły się w miniony weekend organizowane przez Fundację „Wolność i Demokracja” biegi „Tropem Wilczym. Bieg pamięci Żołnierzy Wyklętych”. – Udało nam się z tą ideą dotrzeć także do tych, których historia nie pasjonuje, którzy na co dzień nie mają nic wspólnego z ideami antykomunistycznymi – mówi Michał Dworczyk, inicjator biegu, poseł Prawa i Sprawiedliwości

Magdalena Piejko

Organizatorzy mogą się pochwalić rekordową frekwencją – w biegach wzięło udział ponad 41 tys. osób. – Byli i najmłodsi, często jeszcze w wózkach, i najstarsi, nawet osiemdziesięciolatki – podkreśla w rozmowie z „Gazetą Polską” Michał Dworczyk. – Tegoroczna impreza była wyjątkowa pod każdym względem. Rekordowa liczba miejscowości, w których odbyły się biegi ku czci Wyklętych, rekordowa liczba uczestników i największa liczba imprez towarzyszących. To nasz ogromny sukces – cieszy się poseł. Biegi, jak co roku, odbywały się m.in. na symbolicznym dystansie 1963 metrów, nawiązującym do roku śmierci ostatniego partyzanta podziemia niepodległościowego – Józefa Franczaka „Lalka”.

Podczas imprez towarzyszących biegom wolontariusze zbierali podpisy pod petycją do prezydenta Andrzeja Dudy w sprawie odebrania najwyższych odznaczeń wojsko-



Bieg „Tropem Wilczym” cieszy się coraz większą popularnością

wych – orderów Virtuti Militari – komunistom, w szczególności tym odznaczonym za udział w walce z niepodległościowym podziemem antykomunistycznym. Autorzy listy zwracają szczególną uwagę na przypadającą w tym roku 70. rocznicę

śmierci mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika”. Za akcję przeciwko jego odznaczeniu odznaczeni zostali wojskowi Ludowego Wojska Polskiego. – Rocznica ta „w sposób symboliczny zobowiązuje do weryfikacji wszystkich odznaczonych przez władze komu-

nistyczne tym najwyższym polskim orderem bojowym” – zwracają uwagę autorzy petycji.

W latach 1943–1989 nadano łącznie 5167 orderów Virtuti Militari. Kilku-dziesięciu komunistów odznaczonych za walkę z podziemiem niepodległościowym i zbrodnie popełnione w tym czasie wciąż żyje.

W tegoroczne obchody Narodowego Dnia Żołnierzy Wyklętych włączyli się także reprezentanci Polonii. Bieg „Tropem Wilczym” zorganizowano m.in. w Chicago, Nowym Jorku, Londynie, a także: w Grodnie, Wilnie, Żytomierzu, Zdołbunowie i Lidzie. Emigrantów w Londynie, którzy po raz pierwszy zorganizowali bieg, odwiedzili historycy – Leszek Żebrowski i Tadeusz Płużański. Wieczorem odbył się koncert zespołu hip-hopowego dedykowany pamięci Niezłomnych.

Biegom towarzyszyły spotkania z kombatantami, gry edukacyjne, prelekcje historyków. W wielu miejscach w Polsce od soboty trwają retrospektywy festiwalu „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci” Arkadiusza Gołbiowskiego.

Tygodnik „Gazeta Polska” był partnerem medialnym biegu „Tropem Wilczym”.

1 MARCA \ W niebieskiej partyzantce służyć

Śpiewanie o Żołnierzach Wyklętych

Dziwnie wygląda początek lat 90. oglądany z dzisiejszej perspektywy, a to wszystko za sprawą ułomności – lekko powiedziane jak na to, co się wtedy działo – z jakimi przeprowadzano tzw. transformację ustrojową. Niby coś się zmieniało, ale polityka historyczna pozostała stara, PRL-owska

Paweł Piekarczyk

Zrazu zmieniono nazwy kilku ulic, rozebrano kilka pomników, ale po bardzo krótkim czasie proces wyhamował, a „bolszewicy, zdrajce, łotry i matoly” (cytat z piosenki Leszka Czajkowskiego) pozostali na cokołach jako patroni ulic i, o zgrozo, szkół, a każda kolejna zmiana była oprotestowywana przez media.

Środowisko zebrane wokół Ligi Republikańskiej zorganizowało wystawę „Żołnierze Wyklęci”. Była ona dziełem głównie Grzegorza Wąsowskiego i Leszka Żebrowskiego – wówczas z Ligą związanymi. Wystawa eksponowana była w wiejskich świetlicach, na uniwersyte-

tach, a nawet, w kwietniu 1997 r., w holi głównym w sejmie (miny komuchów były bezcenne). Była to pierwsza w Polsce próba pokazania szerszej publiczności antykomunistycznego i antysowieckiego powstania lat 1944–1963 jako całości, jako masowego ruchu społecznego.

W programie znajdował się wykład, najczęściej Leszka Żebrowskiego, i koncert (grywał z nami również Tadeusz Sikora – bard znany jeszcze z podziemnych nagrań). Grywaliśmy wówczas „Śpiewnik Oszołoma”. W 1996 r. Leszek napisał prawdopodobnie pierwszą w postkomunistycznej Polsce piosenkę o Żołnierzach Wyklętych: „Zanim ostatni pójdzie z Was / w niebieskiej partyzantce służyć, / wszyscy staniemy jeszcze raz, / może historia się powtórzy”.

Kilka lat później powstał IPN, ale dopóki prezesował Leon Kieres, wca-

le nie zrobiło się łatwiej. Wiedza o Wyklętych dalej była upowszechniana niemal wyłącznie staraniami domowego przemysłu. Dopiero prezydentura prof. Lecha Kaczyńskiego i prezesura prof. Janusza Kurtyki przyniosły zasadniczą zmianę. Wysyłek grupy zapaleńców połączony z pracą potężnej instytucji publicznej, jaką dzięki prezesowi Kurtyce stał się IPN, a ponad wszystko polityka historyczna prezydenta Kaczyńskiego, pozwoliły na upowszechnienie wiedzy, liczne upamiętnienia, a nawet wykreowały swoistą modę na Żołnierzy Wyklętych. Dożyliśmy czasów, gdy wokół nich powstają nawet projekty komercyjne. Na stałe trafili do świadomości Polaków.

W ciągu 20 lat naszej obecności na scenie – czy to wspólnej, czy solowej

– nie było takiego koncertu czy płyty, na których nie wracalibyśmy do Żołnierzy Wyklętych. Gramy dla Wyklętych, bo ich kochamy. Naszą płytę „Podziemia Armia powraca” wydaliśmy sumptem Stowarzyszenia 13 grudnia i Oficyny Volumen, ale wówczas Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych obchodzony był jedynie przez naród, a w zasadzie przez jego część. Zagraliśmy w tym czasie ponad 200 razy. Często występuje z nami Jerzy Zelnik, który tak mówi, o tej inicjatywie: – Już trzeci rok sławię pieśnią, wraz z przyjaciółmi – Leszkiem i Pawłem – imię i czyni Niezłomnych, wyklętych przez tych, którzy nieraz do dziś nazywają bohaterów bandytami. Poczytuję to sobie za zaszczyt, że choć w ten sposób mogę utożsamić się z nimi.

Trudno się z tym nie zgodzić.

PAMIĘĆ \ Zlikwidować „zagłębia komunistycznych patronów”

Czy Wyklęci przepędzą komunistów?

Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych to doskonała okazja, by po raz kolejny zaapelować o jak najszybsze przeprowadzenie przez sejm i senat ustawy dekomunizacyjnej. Miejsce „komunistycznych patronów” powinni zająć prawdziwi polscy bohaterowie. Szczególnie ci, których przez lata chciano wymazać z pamięci



Choć tzw. pomnik Czterech śpiących nie szpeci już przestrzeni stolicy, w całym kraju sporo jeszcze sowieckich obiektów do usunięcia

Likwidacja bądź przeniesienie na inne miejsce (cmentarz, muzeum, skansen) obiektu zwanego potocznie pomnikiem leży – zgodnie z polskim prawodawstwem – wyłącznie w gestii samorządów, aczkolwiek zasięgają one zawsze opinii IPN oraz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Fot. Malgorzata Armo/Gazeta Polska

Jerzy Bukowski

Od ponad ćwierćwiecza zastanawiam się (a nie jestem odosobniony w tym zdziwieniu), jak długo jeszcze będziemy chodzić w wielu polskich miastach po ulicach i placach, których patronami są komunistyczni zbrodniarze, a w ich centrach nadal stoją pomniki ku czci Armii Czerwonej.

Przez ponad 25 lat niepodległa Rzeczpospolita nie zdołała pozbyć się wszystkich sowieckich relikwów z przestrzeni publicznej, chociaż apelowało w tej sprawie wiele środowisk z najbardziej chyba konsekwentnym Porozumieniem Organizacji Kombatanckich i Niepodległościowych w Krakowie na czele.

Jeszcze daleka droga

Owszem, w ostatnich miesiącach zniknęły najbardziej kłujące w oczy pomniki Braterstwa Broni ze stołecznego placu Wileńskiego oraz Armii Czerwonej z centrum Katowic i z Nowego Sącza, nie ma już także monumentu ku czci kaptura żołnierzy Armii Krajowej, generała Iwana Czerniachowskiego, w Pieniężnie, ale lista pozostałych sowieckich obiektów nadal jest długa.

Sporządził ją jeszcze za prezesury śp. profesora Janusza Kurtyki historyk Krakowskiego Oddziału IPN dr Maciej Korcuć. Wysłał ją do wszystkich władz samorządowych, opatrując szczegółową informacją na temat danej osoby lub organizacji, ukazując haniebną rolę, jaką odegrała ona w najnowszej historii Polski. Ta akcja nie przyniosła jednak

rezultatu, samorządowcy albo zlekceważyli ów apel, albo tłumaczyli się negatywną opinią mieszkańców bądź problemami natury administracyjno-finansowej. Dzisiaj mamy jeszcze około 1300 takich wątpliwych „pamiątek” po PRL.

Sądy już wiedzą, co robić

Specjalnie użyłem wyżej określenia „obiekty”, a nie „pomniki”, ponieważ pamiątki po sowieckim zniewoleniu trudno traktować w tej drugiej kategorii. Znakomicie uzasadniła to warszawska sędzia Ewa Grabowska, umarżając w 2013 r. sprawę pomalowania farbą dwóch stołecznych monumentów sławiących Armię Czerwoną: wspomnianego i już dzisiaj nieistniejącego na pl. Wileńskim (popularnie zwanego „Czterema śpiącymi”) oraz w parku Skaryszewskim).

Przyznała wprawdzie, że dowody wskazują na fakt zdewastowania ich przez dwóch 21-latków, którzy 17 września 2011 r. oblali je czerwoną farbą i umieścili na nich napisy: „czerwona zaraza”, ale aby przypisać im pełnienie czynów z artykułu 261 kodeksu karnego, należy ustalić, czy oba obiekty są pomnikami. Sąd uznał, że w rozumieniu przywołanego przepisu kk. „nie spełniają definicji pomnika, bowiem ochronie prawnej podlega obiekt wzniesiony dla upamiętnienia zdarzenia bądź uczczenia osoby, której ta cześć jest należna”. Sąd uznał: „Obiekt Wdzięczności Armii Radzieckiej oraz Braterstwa Broni powinny ulec rozebraniu (...). Fakt, iż oba obiekty nadal istnieją, nie nobilituje ich do rangi pomnika i nie uzasadnia ochrony prawnokarnej”. Podobnej argumenta-

cji używają też inni sędziowie, w wielu innych miastach.

Bierny opór w terenie

Dlaczego w takim razie wielu włodarzy miast stawia opór społecznym żądaniom? Czyżby nie rozumieli, że ich postępowanie pozostaje w jawnej sprzeczności z Konstytucją RP oraz z kodeksem karnym, które jednoznacznie zakazują propagowania symboli nazizmu i komunizmu?

Skoro samorządowcom nie zależy na zdekomunizowaniu przestrzeni publicznej, cała nadzieja pozostaje w parlamencie, który już w poprzedniej kadencji rozpoczął przygotowania. Powstały dwa projekty: jeden w senacie, drugi w klubie parlamentarnym Prawa i Sprawiedliwości.

W tym drugim znalazł się zapis o konieczności „oczyszczenia życia publicznego z symboli komunizmu”, m.in. „przez zmiany nazw obiektów i urządzeń przeznaczonych do użytku publicznego, usunięcie z widoku publicznego materialnych symboli komunizmu oraz odebranie orderów, odznaczeń, oznak, tytułów honorowych i innych wyróżnień imiennych przyznanych za zasługi na rzecz komunizmu przez komunistyczne władze państwowe w latach 1944-1989”. Mam nadzieję, że parlament obecnej kadencji już wkrótce powróci do tych projektów lub też przygotuje nowy, twórczo je wykorzystując.

Rosjanie nie mają racji i praw

Trzeba poruszyć jeszcze jeden aspekt tego zagadnienia, który często fałszywie przedstawia rosyjska propaganda. Podpisana 22 lutego 1994 r. umowa pomiędzy rządami Polski i Rosji o grobach

i miejscach pamięci ofiar wojen i represji nie dotyczy materii, o której piszę, lecz jedynie grobów oraz cmentarzy wojskowych. Każdorazową ekshumację należy uzgadniać ze stroną rosyjską, likwidacja bądź przeniesienie na inne miejsce obiektu zwanego potocznie pomnikiem leży natomiast wyłącznie w gestii samorządów, aczkolwiek zasięgają one zawsze opinii IPN oraz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Wątpliwości dotyczą jedynie pomników nagrobnych, za które Rosjanie błędnie uważają każdy monument wzniesiony w pobliżu miejsca pochówku ich żołnierzy. A grzebali ich w 1944 i 1945 r. w centrach naszych miast, stawiając obok obiektu ku czci Armii Czerwonej właśnie po to, żeby znani z szacunku dla zmarłych i poległych Polacy nie ważyli się naruszyć powagi owych miejsc.

Z całą stanowczością podkreślam, że w naszym kraju nigdy nie „rozwłóczano kości” (takim argumentem szermują przeciwnicy ekshumacji szczątków krasnoarmiejców i likwidacji sowieckich obiektów memoratywnych). Z należytym szacunkiem odnosimy się także do grobów żołnierzy armii, które niosły nam zniewolenie. Taka jest chrześcijańska i polska tradycja. Nie należy natomiast do niej czczenia zaborców i okupantów poprzez pozostawianie w przestrzeni publicznej tego, co oni nazywają pomnikami, a my symbolami narzuconej nam podległości. Mamy swoich bohaterów i to oni powinni zająć należne im miejsce w świadomości społecznej.

Autor jest rzecznikiem Porozumienia Organizacji Kombatanckich i Niepodległościowych w Krakowie.



Przeszłość Przyszłość



Przeszłość buduje przyszłość

PZU od lat z dumą wspiera ważne działania na rzecz kultury i zachowania pamięci historycznej. Pomagamy w odzyskiwaniu obiektów muzealnych, dzieł sztuki. Sprawujemy mecenat nad najważniejszymi i najcenniejszymi instytucjami pielęgnującymi kulturę i dziedzictwo narodowe Polski.

Zobacz więcej na pomocmoc.pzu.pl

